Rok XVI. Nr. 3.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO.

Kwartał III.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Ks. Ks. Misyonarzy.
1910.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata wynosi rocznie **7 Kor. (7 Mk.)**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1910 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo“ — Ks. Ks. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

Z Parany.

Rio Claro.

List ks. Kandory do ks. Wizytatora, datowany dnia 12. lutego b. r.

U nas miesiąc styczeń należy do tych miesięcy, w których mamy najwięcej zajęcia, bo w nim przypada kolęda. Kolędę rozpocząłem na nowej kolonii Candido de Abreu, chcąc poznać to miejsce zamieszkałe przez Polaków, jakoteż i ilość tychże. Niestety różne przeszkody pozwoliły mi poznać tylko jej połowę. Na samem wstępie doznałem niemiłego wrażenia, pół godziny przed moim przyjazdem zastrzelił Czech swoją żonę, niewiadomo, czy przypadkiem czy umyślnie. Całą niedzielę chodził z dubeltówką po lesie, wieczorem wróciwszy do domu, chciał kurki odwiedzione spuścić i nieszczęście się stało. Może to i Bóg sprawił, aby ludzie pouczeni przykładem, lepiej szanowali niedzielę. Ten sam przypadek zdarzył się w samo Boże Narodzenie. Młodzieniec pewien chodząc z nabitą dubeltówką, cały nabój wpakował sobie w piersi.

Brak kościoła i księdza daje się odczuwać na każdym kroku. Ludzie prawie że dziczeją, jak mi to opowiadali niektórzy urzędnicy, i jak tego dali przykład w czasie ostatniego nabożeństwa, urządzając sobie prawdziwy jarmark, i to lud pobożny z Galicyi. Kiedy niosą nieboszczyka na cmentarz, nie chcą towarzyszyć konduktowi, mimo zachęty ludzi lepszych.

Kościoła ani kaplicy jeszcze nie stawiają, musimy się za każdym razem tułać po budkach nieodpowiednich na Mszę

św. Ale, cóż robić? Ks. Biskup nie chce dać pozwolenia na budowę kaplicy, bez poprzedniego zapisu miejsca dla niego. A ludzie znowu nie rozumiejąc tego, mówią, że ks. Biskup chce, aby kościół do niego należał, niechaj go swoim kosztem wystawi. Nie widząc innego wyjścia, poszedłem za radą ks. Bayera, kupiłem jeden szakierek i tytuł własności oddałem ks. Biskupowi, a ludziom radziłem, aby przynajmniej kapliczkę wystawili na tem miejscu; ale zdaje się, że i to rzecz bezcelowa, bo koloniści nie mają na to ochoty, mówiąc, że to, co my swoim kosztem i pracą postawimy, to powinno być nasze.

Na kolonii przypatrzyłem się biedzie tegorocznej. Żal mi się zrobiło tych biedaków; napracowali się ogromnie, spuszczając drzewa mające kilka set lat i paląc je, aby zasiać żyta, tam gdzie przed rokiem była puszcza dziewicza. Żyto pokazało się tak pięknem, jakiego w Ojczyźnie nie widzieli, i otucha wstępowała w ich serca, że nie na próżno pracowali. Tymczasem, kiedy miano żyto żąć, zniszczyły je myszy i szczury kompletnie, tylko słoma została. Nic dziwnego, że kilku kolonistów zniechęconych porzuciło szakry.

Nawet do śmieszności dochodziła troska, aby zachować coś z plonów. Jadę razu pewnego, patrzę, a tu coś czarnego na kukurydzy. Z ciekawością zbliżam się, aby zobaczyć, co to jest, a to kolonista mający rychłą kukurydzę i widząc napastników chciwych, obwinął każdy kaczan szmatami i zawiązał sznurkiem, ale próżny jego trud, zjadły mu i tak kukurydzę. Bieda byłaby wielka, ale rząd przedłużył wikt na 9 miesięcy, więc jeść mają co. Myszy już też ustąpiły i późniejsze fiżony i kukurydza bardzo pięknie się zapowiadają. Oby Pan Bóg odwrócił inne klęski, to ludzie z głodu nie pomrą.

Smutno im tylko, zwłaszcza tym, którzy w głębokich borach mieszkają, że mają tak daleko do kościoła. Jeden płakał z żoną na kolędzie. Słuchał w wigilię Bożego Narodzenia, czy też nie usłyszy głosu dzwonów na pasterkę, ale tylko szum piniorów usłyszał. Pocieszałem go, że i między

nimi będzie kościół i kapłan. Inni prosili mnie o więcej obrazków, aby je mogli posłać swym krewnym na dowód, że nieprawdą jest, jakoby w Paranie nigdy polskiego kapłana nie zobaczyli. Smucili się tylko, że nie mieli nic na kolędę dla mnie. Jedna gosposia podaje mi 4 jajka; podziękowałem jej, bobym miał z tem więcej kłopotu niż korzyści, a poprosiłem o garnuszek wody zimnej, bo gorąco było nieznośne. Tym, którzy już mają jakie takie chatki, poświęciłem je. Szkoda, że nie mogłem odwiedzić reszty kolonistów, ale musiałem rozpocząć kolędę na naszej kolonii w Rio Claro.

Dnia 19 stycznia wyjechałem na Pesso do Meio na festę brazylijską. Mój Boże! jakaż to różnica między festą u Polaków a u Brazylian. Kiedy u nas był odpust, całe zastępy garnęły się do spowiedzi, a tu ani jedna dusza się nie wyspowiadała. Prosiłem ich wieczorem, aby przyszli do spowiedzi, czekałem od godziny 7 do 9; ani jeden się nie zjawił. Siedzieli przy kaplicy pod namiotami, nareszcie zbliża się jeden do krzesła, już go chcę żegnać, a ten mówi, że nie chce się spowiadać, tylko pyta się, czy się kawy nie napiję. Tłómaczę mu, iż przede Mszą św. nic się nie pije. „Bom!“ Odszedł. Za chwilę przyszedł inny z tą samą prośbą. Powtarzało się to co kwadrans. Muszę jeszcze nadmienić, że we wendzie, gdzie nocowałem, ledwom wstał, już mnie chciał częstować kawą wendysta, a służąca, i to Polka, przyniosła nawet kawę.

Cała moja praca polegała na chrztach, poświęcaniu figur mających przedstawiać Świętych, trudnych do poznania. W czasie Mszy św. wyprawiali hałas niemożliwy. Nie wiem, czy Pan Jezus i św. Sebastyan zadowoleni z tej czci. Za drugim razem, jeśli ktoś tam pojedzie, będą musieli dać przyrzeczenie, że się lepiej zachowywać będą.

Biały Kamień.

Siedem lat mija, odkąd Zgromadzenie osiadło w Białym Kamieniu, a jeszcze nie zamieszczono o tym nowym posterunku żadnej wzmianki w Rocznikach. Pospieszam więc zapełnić tę lukę, dodając notatkę o obydwóch Rodzinach św. Wincentego, bo i Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia od dziesięciu lat tutaj pracuje.

Dom nasz zawdzięcza swój początek staraniom Sióstr naszych, a zwłaszcza Siostry Przełożonej Rzewuskiej, która stojąc na czele fundacyi białokamienieckiej, wszelkich starań dokładała, aby nasze Zgromadzenie tutaj osiadło.

Fundacya białokamieniecka powstała ze zapisu testamentowego po ś. p. Józefie Sznejderze, który wielkością duszy i szlachetnością serca odczuwał potrzeby cierpiących, a wylany i oddany na ich usługi za życia, umiał stać się ich dobroczyńcą po śmierci, oddając dla nich wszystko, co z łaski Boga w dobrach materyalnych posiadał i czego przysporzył wielką oszczędnością, skąpstwem nieomal, o ile chodziło o niego samego, a rozumną hojnością dla potrzebujących.

Ś. p. Józef Pataleon Sznejder zmarł dnia 20 stycznia 1899 r., a dobra Biały Kamień wraz z przyległymi folwarkami zapisał na wyłączną własność Sióstr Miłosierdzia, z tem zastrzeżeniem, by zakład wychowawczy dla sierót został do dwóch lat otwarty, a szpital do lat trzech, i to pod kierownictwem i opieką Sióstr naszych, fundusze zaś mają się czerpać z czystych dochodów. Kapitału fundator nie zostawił żadnego; stąd rozpoczęte z dniem 12 lutego 1899 r. dzieło na niezmierne natrafiało trudności tak materyalne, jak moralne, wielu bowiem miało niechętnych i uprzedzonych między okolicznem obywatelstwem.

Dziwnie nad tem dziełem uwidocznia się Opatrzność Boża! Na każdym niemal kroku można widzieć, jak Pan Bóg prowadzi i kieruje, skoro znajdzie powolne sobie narzędzie. Owocem tej Opieki -- to ścisłe wykonanie trudnych warunków testamentowych; w roku bowiem 1899 już zakład dla sierót został otwarty; 20 sierót znajdowało w nim wówczas pomieszczenie, dziś liczba ta wzrosła do 50. Na dniu zaś 17 stycznia 1901 r. otwarto szpital dla ubogich chorych na 40 łóżek.

Pana to było dzieło, Jemu więc za nie należała się podzięka; z radością serca przepełnionego wdzięcznością zabrano się do przybytku Chwały Bożej. Gdzie cierpienie i ubóstwo miało się gromadzić, tam Jezus być musi, bez Niego ni pociechy, ni uspokojenia potrzeb, ani też szczęścia być nie może! Więc serce Córki Miłosierdzia nosi się z myślą postawienia skromnej a ładnej świątyni Temu Panu, któremu wszystko zawdzięcza. Ofiarę znać mile Pan Bóg przyjmuje, bo już w r. 1903 Najprzew. ks. Arcybiskup Weber, dokonał konsekracyi kaplicy, pod którą w swoim czasie kamień węgielny poświęcił Najprzew. ks. Arcybiskup Bilczewski. Już było wszystko! już dzieło żyło, a teraz pulsy jego silniej bić zaczęły.

Pan Jezus był ich ożywicielem, Pan Jezus w Przenajświętszym Sakramencie.

Jednego jeszcze brakowało, by w tem dziele mógł duch św. Wincentego w zupełności panować, to kierownictwa duchownego dla Sióstr Miłosierdzia.

Zaradziła temu jednak Opatrzność Boża, mimo przeszkód i trudności wielu. Na wniesioną prośbę o księży Misyonarzy do Białego Kamienia, otrzymały Siostry nasze przyzwolenie Najprzew. ks. Arcybiskupa Bilczewskiego, a także Przew. ks. Wizytator Kiedrowski zgodził się, ażeby jego synowie objęli w zarząd pasterski tutejszą parafię, a przytem byli kapelanami i spowiednikami Sióstr.

Oprócz podpisanego wyznaczeni zostali na ten nowy posterunek misyjny: ks. Jan Kominek z Witkowa i ks. Sta-

nisław Dudek z Jezierzan. Dnia 4 maja 1903 objęliśmy rządy parafialne z rąk ustępującego ks. proboszcza Podwińskiego.

Parafia Biały Kamień, licząca 4 tysiące dusz, składa się z miejscowego miasteczka i 7 wiosek w promieniu 7 kilometrów odległych. Parafia tutejsza ma swoją historyę. Początek jej bowiem sięga XVII. wieku, — fundował ją książę Jerzy Wiśniowiecki w r. 1708 do 1715. Kościół jest murowany, a pochodzi z początku XVIII. wieku. W kronice parafialnej jest wzmianka, że od r. 1708 do 1715 zarządzali parafią księża Trynitarze, a od r. 1817 do 1829 OO. Kapucyni, więc nie pierwsze nasze Zgromadzenie kieruje tutejszą parafią.

Początki nasze w Białym Kamieniu nie były bardzo przyjemne. Lud uprzedzony z niedowierzaniem patrzał na nas, tak że nawet podpisy zbierano do Konsystorza, aby tylko Jezuici, jak nas nazywano, nie byli proboszczami. Po niedługim czasie uprzedzenie znikło i dzisiaj lud ten jest nam zupełnie oddany.

Trudność większa była z pomieszkaniem. Na razie zamieszkaliśmy na probostwie szczupłem bardzo, bo składającem się z 3 pokoi i kuchni, a przytem znacznie oddalonem od kościoła. Trzeba było starać się o nowe obszerniejsze mieszkanie, zastosowane do wymagań Zgromadzenia. A musiało się to stać bez konkurencyi parafialnej, li tylko z własnych funduszów. Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia odstąpiło pod nowy dom miejsce i dopomogło znacznym datkiem do budowy. Już w r. 1904 zaczęto gromadzić materyały; 13 czerwca 1905 r. poświęcono kamień węgielny, 29 października 1906 r. poświęcił dom już gotowy Przew. ks. Wizytator Kiedrowski — w obecności kilku Konfratrów, Sióstr naszych z Białego Kamienia i reprezentantów tutejszej gminy. Dzień ten był dla nas wszystkich radosnym; mieliśmy bowiem dom wygodny zastosowany do potrzeb Zgromadzenia, mogący pomieścić i więcej Konfratrów — a co najważniejsza, mieliśmy kapliczkę domową, a w niej Pana Jezusa

w Najświętszym Sakramencie Ołtarza; czuliśmy się jakby więcej odtąd Misyonarzami, większa otucha i nowy zapał do pracy wstąpiła w nas wszystkich.

A pracy tej było i jest w Białym Kamieniu dosyć, mamy bowiem do obsługi duchownej trzy kościoły, dwa w miejscu, trzeci — w Uszni, o 7 kilometrów odległy, dokąd jeden z nas co niedzielę i co święto z nabożeństwem dojeżdża.

Szkół oprócz miejscowej czteroklasowej i zakładowej u Sióstr, mamy 7, do których co tygodnia z reguły dojeżdżać trzeba, ażeby tam zgromadzoną dziatwę szkolną uczyć nauki religii.

Dosyć zajęcia przysparza nam budowa kościoła w Skwarzawie, bo nietylko trzeba doglądać roboty, ale co najważniejsza, znaleźć fundusze na budowę.

Kościł ten 27 metrów długi, 10 szeroki, z wieżą 36 metrów wysoką, w stylu gotyckim, buduje się już od r. 1905.

Z początku budową tego kościoła bardzo się opiekowało Towarzystwo narodowe w Złoczowie. Atoli, gdy funduszów zabrakło, budowę zastanowiono i mury doprowadzone zaledwie pod okna miały kilka lat stać nienakryte. Przykry to był widok patrzeć, jak niszczało to, co się zrobiło z takim wysiłkiem. Wśród Rusinów skwarzawskich już się odzywały głosy, że kościoła nie będzie, że oni jeszcze kupią mury te na rozbiórkę! Trzeba było sprawę ratować. Opuszczony od wszystkich, musiałem się zwrócić do ofiarności publicznej. Aby zaś lud do tej ofiarności zachęcić utworzyło Zgromadzenie nasze wieczystą fundacyę na 12 Mszy św., zrobiło nakład na 15 tysięcy pamiątkowych obrazów Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, z napisem, że kto taki obraz nabędzie, ten jako ofiarodawca nabywa prawa do 12 Mszy św. rocznie po wieczne czasy.

Obrazy te wysyłałem do znajomych księży, do Zgromadzeń zakonnych, do wszystkich domów Sióstr naszych w Galicyi i Prusach z prośbą, ażeby obrazy nasze między ludem rozsprzedawano. Temu, że słowa nasze znalazły po-

słuch, zawdzięczamy, że mury kościoła nie poszły „na rozbiórkę“, jak tego niektórzy pragnęli; ale wyprowadzono je do 10 metrów wysokości, nakryto kościół dachem, ukończono sygnaturki i wieżę, posadzkę do kościoła przyobiecała mi z okolicy firma obywatelska. Pozostaje jeszcze kościół cały zasklepić, wyprawić mury, sprawić okna i całe wewnętrzne urządzenie.

Pracując nad zbawieniem dusz, nie zapominamy też i o akcyi społecznej wśród ludu pieczy naszej powierzonego. Przed kilku laty założyliśmy Kółko rolnicze w Białym Kamieniu, świeżo otworzyliśmy dwa sklepy chrześcijańskie w dwu sąsiednich wioskach, jako filie naszego Kółka.

Przed sześciu miesiącami założyliśmy w Białym Kamieniu kasę Raiffeisena, żeby lud nasz nie musiał lichwiarskich długów zaciągać. Jak zaś ta kasa była potrzebna, to najlepszy dowód w tem, że już w tak krótkim czasie włożono i wypożyczono między włościan około 15 tysięcy koron.

W pracy tej nad ludem dzielnie pomagają nam Siostry Miłosierdzia swojemi dziełami. I tak nasamprzód Stowarzyszeniem Dzieci Maryi. Już dnia 19 stycznia 1902 r. powstało ono w zakładzie sierót, a w maju 1905 r. założono stowarzyszenie dla przychodnich, które początkowo połączone były, a dopiero w sierpniu 1906 r. jako osobne stowarzyszenie zostało ukonstytuowane przez wybór urzędniczek. Za łaską Bożą stowarzyszenie to bardzo się ładnie rozwija, a należą doń nietylko dziewczęta z Białego Kamienia, ale ze wszystkich wsi okolicznych i te pilnie uczęszczają na zebrania. Liczba stowarzyszonych dochodzi obecnie do stu kilkudziesięciu.

W maju 1909 r. otwarto w Białym Kamieniu ochronkę dla ubogiej dziatwy; a jak bardzo była potrzebna, w krótkim okazało się czasie, gdy u tego maleństwa zaczęły się wyłaniać zdolności umysłowe, bujnota fantazyi, niezwykła pojętność i pochop do wszystkiego, co dobre i szlachetne.

Niezadługo ma powstać ochronka nowa w Uszni. Wieś ta należąca do fundacyi, liczy do 1600 dusz obrządku łacińskiego. Ochronka jest tutaj bardzo potrzebną; rodzice bo-

wiem idąc za zarobkiem do poblizkiej fabryki bibułki w Sassowie pozostawiają często dzieci swoje bez wszelkiej opieki, stąd często wypadki możliwe. Daj Boże, ażeby tę ochronkę otwarto jak najprędzej.

Katechizmy niedzielne, jak sądzić można z przeszkód, na jakie natrafiały, to może dzieło najmilsze Bogu i najwięcej mogące mu przynieść chwały. — Rozpoczęte zaraz w początkach objęcia fundacyi przez Siostry Miłosierdzia, bardzo się ładnie zaczęło rozwijać; dziatwa garnęła się licznie, dlatego z bólem serca dla przyczyn ważnych musiały Siostry ustąpić i zaprzestać uczyć katechizmu.

Dopiero w nowszym czasie spróbowano na nowo szczęścia, katechizmy dzięki Bogu udają się; dzieci dużo, słuchają chętnie, pojmują łatwo, jest więc nadzieja, że przyniosą one wielkie korzyści naszej parafii.

Oto pobieżny szkic prac, jakie podejmują obydwie Rodziny św. Wincentego w Białym Kamieniu.

Ks. Wilhelm Wrodarczyk.

Chiny.

Złoty jubileusz wikaryatu apostolskiego południowo-zachodniego Czeli.

Cfr. Annales 1910, 1 (str. 55—76).

Przed utworzeniem wikaryatu. — Pierwotnie tworzyły całe Chiny jedną tylko dyecezyę. Założył ją Grzegórz XIII. w roku 1585. Biskup mieszkał w Makao, a podlegał prymasowi z Goa. Portugalczycy bowiem wywierali wtedy na misye na całym Wschodzie ogromny wpływ, który przechodził niekiedy w samowolę. Bez ich pośrednictwa nie można było żadnego biskupa mianować. Również każdy misyonarz musiał ich prosić o pozwolenie dla głoszenia wiary w Indyach lub Chinach. Aby temu zapobiedz, ustanowił Aleksander VII. w roku 1656 trzy niezależne biskupstwa dla Chin. Stolicą jednego pozostało nadal Makao. Pekin i Nankin stały się siedzibą dwóch innych. Biskup Cotolendi, do którego należało Czeli razem z północnemi Chinami, zmarł w drodze do stolicy. W jego miejsce zamianowano biskupem Dominikanina, Grzegorza Lo, który wszakże dla swej starości nigdy nie dotarł na północ. Na szczęście już od schyłku XVI. w. w Pekinie i Czeli pracowali Jezuici portugalscy. Sprzyjał im minister Fong, który sam wprawdzie wiary katolickiej nie przyjął, ale gorąco ją popierał w kole swoich przyjaciół. Kiedy w r. 1610 umierał O. Ricci, Pekin liczył już znaczną ilość chrześcijan. Z tego też czasu datuje się początek gmin

w Czeli, a ściślej mówiąc, także w Czeli południowo-zachodniem, o które nam właśnie chodzi.

W r. 1650 zbudowali Jezuici portugalscy w Pekinie za pozwoleniem cesarza wspaniały kościół, który w 6 lat później, gdy Aleksander VII. podzielił Chiny na trzy dyecezye, stał się katedrą biskupa. W tym czasie przybyli do cesarstwa Niebieskiego Jezuici francuscy. Cesarz Kangi przyjął ich bardzo życzliwie i dał im grunt pod budowę świątyni, która stanęła rzeczywiście w 1693 pod wezwaniem Zbawiciela. Odtąd więc miał Pekin dwa kościoły, dwie misye; w północnej części (Petang) byli Misyonarze francuscy, w południowej (Nantang) portugalscy, tu też była zarazem katedra biskupia. Tak było przez cały wiek. Gminy chrześcijańskie w południowo-zachodniem Czeli należały zawsze jeszcze do misyi portugalskiej, gdyż trzymano się tej zasady, iż nowonawróceni należą do tych, którzy ich nawrócili.

Dekretem Propagandy z 7 grudnia 1783 otrzymało misye pojezuickie w Chinach Zgromadzenie Księży Misyonarzy. Czasy były nieszczęśliwe. Europa nie mogła przysyłać nowych pracowników, a ustawiczne prześladowanie porywało coraz nowe ofiary na miejsce stracenia. Służbę bożą w Czeli sprawowali księża krajowi. Ostatnim europejskim Misyonarzem w dzielnicy Petang był ks. Lamiot, który po uwięzieniu bł. Franciszka Kleta musiał opuścić stolicę dla konfrontacyi z Męczennikiem, a kościół jego zamknięto. Ks. biskup Pirès, przeznaczony do Nankinu, pozostał mimo to aż do swej śmierci w 1838 administratorem dyecezyi pekińskiej i był ostatnim Misyonarzem europejskim w dzielnicy Nantang. Po nim został w Czeli jedynie ks. Castro, rodem Portugalczyk. Sam jeden, bez nadziei pomocy z ojczyzny, zwrócił się z prośbą do Francyi. Dnia 8 kwietnia 1840 r. pisał ks. Borja do Lizbony: „Francuski Misyonarz, ks. Perboyre, zdobywa w tej właśnie chwili palmę męczeństwa w prowincyi Hu-pe; ks. Castro oczekiwał go z wielką tęsknotą, bo miał on przyjść z pomocą misyi w Pekinie“.

Tymczasem dwór lizboński zamianował ks. Castro biskupem Pekinu. Pius IX. zaś, przekonawszy się, że wpływ portugalski szkodę tylko misyom przynosi, zamierzał znieść dyecezyę pekińską, a jej biskupa mianować wikaryuszem apostolskim w Czeli. Ks. Castro jednak, nie chcąc się narazić rządowi portugalskiemu, wrócił do ojczyzny. Ojciec święty powołał na jego miejsce księdza Mouly. Pokorny ten kapłan tysiącznymi sposobami starał się nakłonić księdza Castro do powrotu, ale napróżno. Chrześcijanie i księża chińscy, przywykli zdawien dawna do Portugalczyków, nie mogli pojąć tych wszystkich zmian i ciągle obwiniali francuskiego Misyonarza, że to on spowodował odjazd księdza Castro. Dopiero po długim czasie uprzedzenie to powoli zanikło.

W dziesięć lat potem, w r. 1851, przyjechał do Chin nadzwyczajny wizytator z Paryża, ks. asystent Poussou, a kierownicy misyi musieli się zgromadzić około niego w Ningpo, w pr. Czekiang. Zanim biskup Mouly udał się w drogę, wybrał sobie za pozwoleniem papieskiem zastępcę w osobie ks. Anouilh i udzielił mu sakry biskupiej. Załatwiwszy sprawy z komisarzem O. Generała w Ningpo, pojechał na konferencyę biskupów do Szangaju, gdzie uchwalono między innemi podzielić niektóre prowincye na większą ilość wikaryatów. Po pięcioletnich zabiegach otrzymał biskup Mouly od papieża pozwolenie na podział swej dyecezyi na trzy części: wikaryat północnego Czeli został pod jego zarządem; Czeli południowo-wschodnie otrzymali OO. Jezuici; Czeli południowo-zachodnie powierzono zrazu Stowarzyszeniu Misyi Zagranicznych, a kiedy stamtąd odmówiono, dostali je Ks. Ks. Misyonarze. Wikaryuszem zaś apostolskim tamtejszym został ks. biskup Anouilh. Było to 14 grudnia 1858.

Pięćdziesięciolecie wikaryatu apostolskiego (1858—1908). Wikaryat poł.-zachodniego Czeli obejmuje wszerz 161 klm., a wzdłuż 250 klm. Na jego równinach mieszka blizko ośm milionów ludności. Gdy go biskup Anouilh brał w swe posiadanie, było 14.000 wiernych, którzy tworzyli około 80 gmin. Obsługiwało je dziewięciu Misyonarzy. Mała ich ilość

i ciągłe prześladowania nie pozwalały im odwiedzać chrześcijan, a tem mniej zyskiwać nowych. Musieli zdać wszystko na łaskę Bożą, a zadowolnić się tem, że wierni dotychczasowi wypełniali jako tako konieczne obowiązki względem religii. Aczkolwiek ucisk nie był krwawy, mimo to zatrzymywał bieg pracy misyjnej. Sam pozór, że jest się chrześcijaninem, ściągał na głowę podejrzanego rozliczne przykrości. Układ z r. 1858, zawarty w Tientsin, poręczał wprawdzie Chińczykom wolność wyznania, między innemi także katolickiego, ale po wsiach zostało to prawo martwą literą. Owszem, jeszcze bardziej lud jątrzyło, zwłaszcza przeciw Misyonarzom, którzy rozkrzewiali wiarę sprzeciwiającą się w zasadzie pojęciom i zwyczajom mieszkańców Niebieskiego cesarstwa. Kiedy biskup Anouilh przybył na święta Bożego Narodzenia r. 1858 do Cze-kiu, byłby się o mało co dostał w ręce mandaryna z Ting-czeu. Na szczęście powiadomiony zawczasu o grożącem mu niebezpieczeństwie, przedostał się w nocy za mury miasta, a zaprzęg wołów uwiózł go w bezpieczną dal. Schwytano jednak dwóch jego katechistów i okuto w kajdany. Aby ich uwolnić i poprzeć sprawę chrześcijan w Siu-kiao-czoang, udał się biskup do Paoting-fu. Tutaj wygrał proces, ale wicekról kazał go odprowadzić do Szangaju. Było bowiem prawo, wydane w r. 1843, na mocy którego nie wolno było skazywać na śmierć Misyonarza, ale należało go wydać konsulowi tego państwa, z którego pochodził jeniec. Nasz biskup wydobył się z tej niewoli w niespodziewany prawie sposób. Mianowicie okręty wyprawy angielsko-francuskiej zarzuciły były właśnie kotwicę w porcie Taku, gdy on przybył tamże. Admirał Protet ofiarował mu gościnę na swym statku i zabrał z sobą do Tientsin. Książę Kong, brat cesarza, szukał natenczas pośrednika dla ułatwienia rokowań ze sprzymierzonemi mocarstwami. Biskup Anouilh podjął się tego, ale nie sam, tylko w towarzystwie biskupa Mouly, którego był sufraganem. Obaj wjechali uroczyście do stolicy i uzyskali na dworze wielkie swobody dla

misyi. Dnia 29 października roku 1860 otwarto starą katedrę w dzielnicy Nantang i nie ukrywano się już z swym kultem. A więc teraz była wolność, było wszystko, ale na przeszkodzie stanęło oderwanie się niektórych chrześcijan od Rzymu, a to z przyczyny ks. Castro, którego wybiegu politycznego nie zrozumieli. Fałszywie również pojęli list, który do nich napisał z Portugalii. Zdawało im się, że biskup chce do nich wrócić, ale nie może tego uczynić z powodu księdza Mouly. Niektórzy kapłani krajowi podnieśli wprost otwarcie chorągiew buntu. Urządzili uroczyste nabożeństwo, odśpiewali *Veni Creator* i związali się przysięgą, że nigdy nie będą posłuszni samozwańczemu, według ich mniemania, biskupowi Mouly i że nie spoczną wpierw, aż wróci nieszczęśliwy wygnaniec, ks. Castro. Zebrali sporo pieniędzy i wysłali poselstwo do Rzymu. Ale Rzym rzucił klątwę na podżegaczy i opornych. Misyonarze jednak starali się usilnie przywieść zbłąkane owieczki do prawdziwej owczarni, a biskupowi Anouilh wraz z księżmi Simiand i Talmier udało się tego w części dokonać. W r. 1858 mógł biskup Tagliabue pisać, że już tylko garstka zatwardziałych trwa w uporze. Reszta poddała się Stolicy św., ale ich zapatrywania nie odrazu się zmieniły, a niezbyt dobry przykład i lekkie obyczaje tych chrześcijan nie były ponętą ni zbudowaniem dla pogan. Różne też przeszkody czysto doczesnej natury dawały Misyonarzom obfite źródło zasługi, ale równocześnie były wielkiem utrudnieniem dla ich prac. Świeżo utworzony wikaryat nie miał domu dla księży ani kaplic dla wiernych. Według opowiadania ks. Wang, 74 kaplic leżało w gruzach, w które je rozsypali mandaryni i tłum, a nie było nikogo, ktoby je odbudował. Na zaradzenie temu miał biskup Anouilh zaledwie dziewięć do dziesięciu tysięcy franków rocznej zapomogi. W dodatku zakupiono jeszcze dla dzieci utrzymywanych przez Stowarzyszenie Dziecięctwa P. Jezusa dom w Pien-tsuen, gdzie też Misyonarze na dobre się osiedlili.

Taki był stan poł.-zachodniego Czeli, gdy biskup Anouilh brał jego ster w swoją dłoń. Z całym zapałem wziął się do pracy i wytężył wszystkie swe siły na nawracanie pogan. Jego sposób nawracania był bardzo prosty. W towarzystwie księdza krajowca i dwóch katechistów, szedł od wioski do wioski, zatrzymywał się na miejscach publicznych, stawał przed gospodą. Ciekawość zgomadzała tłum. Jeśli to nie starczyło, kazał katechiście grać na katarynce lub wystawiał na pokaz przedmioty europejskie. Gdy ulice, place i dachy napełniły się ludem, wstępował na podniesienie i poczynał mówić. Mówił zaś tak długo, póki mu sił starczyło. Gdy skończył, pytał, kto chce być chrześcijaninem. Jedni mówili tak, drudzy nie, a niektórzy zwlekali z odpowiedzią na później. Wtenczas katechiści szli między słuchaczów i spisywali imiona nowopozyskanych zwolenników. Jeśli ich liczba była dostatecznie wielką, posyłał im biskup nauczyciela, a sam szedł dalej. Przekonywał ludzi nietylko słowem, ale jeszcze więcej jednał ich dla siebie i dla wiary, ujmując się za ich prawami. Między wieśniakami zdarza się często, że ich oszukują i wyzyskują ludzie chytrzy, przebiegli lub nawet sami mandaryni. Biedacy nie umieją się otrząsnąć z pod ucisku, bo sądy bronią tylko tych, którzy poprą swą sprawę ciętym językiem lub miłym groszem. Dlatego biskup zajmował się ich losem, jeśli tylko oświadczyli, że dadzą się ochrzcić. Szedł od sądu do sądu, a w potrzebie pukał do drzwi wicekróla w Pekinie i nie odetchnął pierwej, aż wygrał. W ten sposób zdobył sobie wnet wielką sławę i wziętość u ludu. Zewsząd zbiegano się do niego. Poganie nawracali się bardzo licznie, gdyż liczyli na jego skuteczną pomoc w sądzie albo na jaki inny zysk doczesny. Prawda, że były to środki czysto ludzkie i aż przykro słuchać, że najpiękniejszy wykład o prawdach wiecznych mniej skutkował, niż obietnica małej korzyści materyalnej, ale biskupowi Anouilh przyganiać nie podobna, gdyż on walczył w obronie sprawiedliwości, a przez to samo wywoływał wśród pogan wielki ruch w kierunku wiary katolickiej. Echo jego

skrzętnych zabiegów jeszcze dziś słyszeć się daje. Do r. 1869, w którym umarł, przepowiadał biskup Anouilh słowo Boże w przeszło stu wioskach, a pozyskał 30,000 katechumenów. Prawda, że wielu z nich nie wytrwało w postanowieniu, ale winien temu chyba nie nasz niestrudzony apostoł. Pracował ciągle, niósł w coraz dalsze zakątki pochodnię ewangelii, ale nie miał dostatecznych środków, by swej pracy zapewnić skuteczną trwałość. Brakowało mu katechistów i nauczycieli, a już najbardziej Misyonarzy i środków materyalnych. Całemi nocami pisywał listy do Europy. Błagał przełożonych o księży, a tu i owdzie żebrał jałmużny na swych chrześcijan, na budowę kościołów i domów misyonarskich; prosił nawet o budowniczego dla zbudowania katedry. Słynny Brat Józef Génin w Paryżu był zwykłą jego ucieczką. Z czasem przysłano i Misyonarzy. W r. 1861 przyjechał ks. Erdely, 1863 ks. Moscarella, 1864 ks. Prammagiore, który jednak zmarł wkrótce po przyjeździe. Gdy w r. 1866 powierzono belgijskim Misyonarzom Mongolię, przybył do Czeli późniejszy wikaryusz apostolski w północnem Kiangsi, ks. Bray, z kilku chińskimi współbraćmi, z których jeden, Piotr Kuo, zmarł niedawno, a drugi, Paweł Czang, do dziś dnia żyje.

Na początku r. 1863 otrzymał biskup Anouilh od rządu chińskiego stary pałac cesarski w Czeng-ting-fu jako odszkodowanie za spalone i zrujnowane kaplice.

Istniały z niego tylko gruzy — to prawda, ale samo miejsce było jednem z najpiękniejszych w całem mieście. Biskup umieścił tam 10 sierot i urządził skromne pomieszkanie dla siebie. Dokupił nawet od zachodniej strony kawałek gruntu pod budowę kościoła, którego kamień węgielny położył 8 grudnia 1867. Poświęcił go zaś ku czci Niepokalanego Poczęcia N. M. P. Nie miał jednak oglądać świątyni gotowej, bo gdy w dwa lata potem umierał, mury sięgały zaledwie wysokości okien.

Przy śmierci biskupa Anouilh liczył wikaryat południowo-zachodniego Czeli około 20.000 chrześcijan. Jeżeli zważymy wielkie trudności ze strony mandarynów, a nawet

chrześcijan, to trudno nam znaleźć słów na pochwałę biskupa. Między tymi, którzy zwracali się do niego po chrzest, było wielu oszustów, którzy liczyli jedynie na zysk doczesny. Gdy tedy poznali, że biskup podejmuje się procesów jedynie w sprawach religijnych, wrócili do pogaństwa, dając temsamem wielu chrześcijanom przykład i zachętę do podobnego odstępstwa. Drugą przyczyną małego stosunkowo wyniku prac ks. biskupa Anouilh był, jak on sam wyznaje, brak nauki dla nowonawróconych. Chwilowe wzruszenie tutaj nie wystarczy. Trzeba lud dalej pouczać, utwierdzać w wierze, a to praca najmozolniejsza. Podjął się jej biskup Tagliabue, który nastąpił w r. 1870 po ks. Anouilh. W tym celu zaraz z początku zarządził rekolekcye dla ludu. W towarzystwie jednego lub więcej Misyonarzy i kilku katechistów szedł do większych gmin, zwoływał wiernych z okolicy i ćwiczenia się rozpoczynały. Najpierw odprawiali je mężczyźni, potem niewiasty, a niekiedy młodzieńcy i dziewczęta. Przez pięć dni z rzędu zachowywali rekolektanci porządek prawdziwie klasztorny. Ustawiczne milczenie, rozmyślań trzy i dwa czytania duchowne, trzy lub cztery nauki, szczegółowy rachunek sumienia — wypełniały cały dzień. Nadto nie było wolno chodzić do domu, palić tytoniu t t. d. Wkońcu następowała spowiedź generalna i Komunia św. Te ćwiczenia duchowne wydały jak najlepsze owoce i jeszcze dziś można się przekonać, że w tych wioskach, które odprawiały rekolekcye, jest wiara nadzwyczaj silnie ożywiona.

Troszcząc się o dalsze kształcenie nowonawróconych, założył biskup, Tagliabue szkołę katechistów, która pod kierownictwem kilku dzielnych Misyonarzy rozwinęła się znakomicie. Katechiści, otrzymawszy bezpłatnie gruntowną naukę wiary i pobożne wychowanie, szli między nowonawróconych jakby pochodnie w mrok ciemności. Świecili im dobrym przykładem i podtrzymywali chwiejącą się wiarę. Jeszcze dziś można spotkać po niektórych gminach katechistów, którzy są prawdziwą chlubą dla swych nauczycieli.

W tym samym czasie założył biskup Tagliabue „Siostry św. Józefa“, nad któremi pieczę objął ks. Moscarella. Ich zadaniem była początkowo troska nad sierotami i nad dziewczętami, które postanowiły żyć w panieństwie, ale mimo to zostać u rodziny. Istotnym wszakże celem Sióstr św. Józefa było prowadzenie żeńskiego katechumenatu i w tym też kierunku pracując stwierdziły już dawno potrzebę swego istnienia.

Nie zapomniał też biskup o rzeczy najważniejszej, t. j. o seminaryum, którego zarząd i opiekę oddał również księdzu Moscarelli. Z początku liczono 15 kandydatów. Ks. Moscarella wziął się z całym zapałem do pracy i miał to szczęście, że sześciu z nich otrzymało z rąk ks. biskupa Tagliabue święcenia kapłańskie.

W październiku r. 1882 przybyły też Siostry Miłosierdzia w liczbie sześciu, a na ich czele S. Guerlain, która dotąd żyje i cieszy się pełnią sił. Biskup zakupił dla nich na zachód od katedry wielki szmat ziemi, gdzie pobudowano dobroczynne zakłady. Mają tam Siostry: dom dla sierot, przytulisko dla schorzałych opuszczonych starców, schronisko dla ślepych i głuchoniemych, szkołę pracy, katechumenat żeński, ambulatoryum i inne dzieła miłosierdzia. Wszystkie nabierają coraz większego znaczenia, a to jedynie dla dobra biednych Chińczyków.

W tym także czasie pewien włoski Misyonarz, ks. Catella, równie pokorny jak gorliwy, postanowił sobie ratować w szczególniejszy sposób umierające dziatki pogańskie. Zwykł był przytem mawiać: „Przyjechałem do Chin, żeby nawracać pogan. Że jednak Chińczycy wogóle bardzo mało oceniają dobrodziejstwo wiary i jeśli nie widzą w tem doczesnego zysku, rzadko zapisują się pod jej sztandar, zwrócę się tedy do dzieci“. Zebrał w tym celu pewną ilość katechistów, napisał wykaz lekarstw dla chorych dziatek i począł rozdawać katechistom nagrody w stosunku do liczby chrztów. Nawoływał nawet wiernych, żeby nie pomijali żadnej sposobności do wiecznego uszczęśliwienia tych biednych

istotek. W ten sposób zebrał wielkie owoce, a wielu innych księży poszło za jego przykładem. Liczba takich chrztów wynosi dziś od dwudziestu do trzydziestu tysięcy.

Przy tylu różnorodnych zajęciach nie pominął biskup Tagliabue doczesnych potrzeb swego wikaryatu: wykończył katedrę w Czeng-ting-fu, pobudował lepsze pomieszczenie dla Misyonarzy chorych lub potrzebujących chwilowego wytchnienia. Toteż kiedy w r. 1884 brał w swój zarząd wikaryat północnego Czeli, zostawił dotychczasowe pole swej działalności w bujnym rozkwicie. Jego następca, biskup Sarthou, zastał 25,000 chrześcijan. Tenże powiedział zaraz na wstępie: „Pracę w mym wikaryacie poprowadzę naprzód w tym samym duchu, w jakim je prowadził mój poprzednik“. Ponieważ jednak zaledwie pięć lat pracował biskup Sarthou na tej niwie, a zródła pomocy powoli zanikały, przeto nie mógł stwarzać nowych zakładów. Wystawił wszakże trzy świątynie, a gdy w r. 1890 szedł na miejsce zmarłego biskupa Tagliabue do Czeli północnego, okazało się przy wykazie, że liczba chrześcijan w Czeli południowo-zachodniem powiększyła się o 3.000.

Po ks. Sarthou nastał biskup Bruguière, który już od czternastu lat pracował w wikaryacie jako prosty Misyonarz i znał dobrze język oraz zwyczaje miejscowe. Tchnął on w istniejące zakłady nowego ducha, a wiele od nowa założył. Najpierw przeniósł szczątki biskupa Anouilh do niedawno zbudowanego grobowca w Pekinie, w dzielnicy Petang. Opodal zaś założył wkrótce Małe Seminaryum. Zakład tego imienia w Czeng-ting-fu tlił bowiem przez kilka lat słabą iskierką życia, czy to dla braku księży, czy też dlatego, że połączono razem w jedno seminaryum kleryków i zakład chłopców. Zbudował więc biskup Bruguière w dzielnicy Petang konieczne pomieszkanie i oddał seminaryum w opiekę księdzu Ramon, który atoli zgasł przedwcześnie. Za ks. Hercouet'a liczba seminarzystów rosła z roku na rok tak, że ks. Bruguière mógł wyświęcić na kapłanów aż 20 krajowców.

W r. 1895 założono nowe zgromadzenie pod nazwą „Braci św. Pawła". Doświadczdnie pokazało bowiem, że nawet ci katechiści, którzy dostali bezpłatne wykształcenie, nie uczą jak się należy nowonawróconych, ale raczej chwytają się jakiego korzystnego rzemiosła. Aby temu zaradzić, założono właśnie to nowe zgromadzenie. Zwykle wybiera się chłopców biednych rodzin, mających liczne potomstwo, daje im się bezpłatnie pożywienie, odzież i naukę, potem otrzymują pozwolenie składania ślubów na jeden rok. Mimo wielkich zrazu trudności, zgromadzenie to coraz więcej się rozwija. Dziś liczy 20 członków i oddaje misyi znakomite usługi.

Równocześnie zbudowano kilka kościołów, których konieczność dawała się coraz bardziej we znaki. Pracę nad poganami, nad budową szkół i katechumenatów przerwały w r. 1900 rozruchy Bokserów. Wikaryat wszakże ocalał. Wyjąwszy 60 chrześcijan, którzy padli w potyczce z powstańcami, nikt nie uległ śmierci. Wierni skupili się po większych miejscowościach w pobliżu Misyonarzy, a wróciwszy po burzy do domów, znaleźli jedynie ich zgliszcza i gruzy kaplic. Co gorsza, zjawiła się cholera i porwała z chrześcijan kilkaset ofiar, między niemi dwóch Misyonarzy. Po walce rzucono się z nową siłą do pracy i przekonano się, że chmura prześladowania przyniosła na te pola pogańskie obfity deszcz błogosławieństwa Bożego. Przyszli nowi Misyonarze, wzrosła liczba chrztów u dorosłych, pobudowano nowe kościoły, stare kaplice powstały z rumowisk. Niestety, mnóstwo zajęć, obawy i troski, nadto ciężka odpowiedzialność nadwątliły siły ks. Bruguière i podcięły je dnia 19 października 1906 r. Zmarł w 55 roku życia. Zasługi jego są olbrzymie. Liczba chrześcijan powiększyła się za jego czasów o 15.000.

Jego następca, ks. biskup Coqset, ma to szczęście, że może święcić jubileusz 50-letniego istnienia wikaryatu poł.-zachodniego Czeli.

Obecny stan wikaryatu jest bardzo pomyślny. Prace posuwają się żwawo naprzód. Przeszkody znikają. Wykaz z roku 1908 podaje: 48.500 chrześcijan; 348 kościołów lub kaplic głównych, 81 filialnych; 44 Misyonarzy, między nimi 25 krajowców; seminaryum kleryków i Małe seminaryum z 100 wychowankami; 3.911 chrztów u dorosłych; 12 Sióstr Miłosierdzia; 672 chorych pielęgnowanych po szpitalach; 27.300 odwiedzeń chorych w domu; 29.548 ochrzconych dzieci pogańskich.

To też ks. Biskup Coqset pisze, co następuje:

„Podziękujmy z całej duszy Bogu i Matce Boskiej za opiekę nad naszym wikaryatem. Wspomnijmy również wdzięcznem sercem na owych dzielnych Misyonarzy, którzy nas wyprzedzili, zraszając swym potem łan, który obecnie my uprawiamy. Już 36 Misyonarzy spoczywa na cmentarzu w Petang, między nimi dwóch wikaryuszów apostolskich. Przeważnie w kwiecie wieku powiędli oni. W modlitwach swoich nie zapominajmy o nich".

List S. Pauliny Moniak do ks. Wizytatora.

Szangaj, dnia 15 marca 1910.

Od dawna wyrzucam sobie mą niewdzięczność, za tyle dobroci mi okazywanej w przysyłaniu mi Roczników Zgromadzenia. Pragnę, by list mój obecny był wyrazem mego podziękowania, za pociechę i radość, którą mi sprawiają. Czytając je, jakże się nie cieszyć na widok łask i błogosławieństw, które Bóg dobry zlewa na ukochaną naszą prowincyę krakowską. Zawsze, ale szczególniej z okazyi jej jubileuszu, serce moje podnosi się ku Bogu, dawcy łask wszelkich, w dziękczynnych modlitwach. Dumną jestem, że wolno mi być jej członkiem, i za taką, choć z woli Bożej przestrzenią oddalona, pragnę być zawsze uważaną.

Nie wyślę tego listu bez napisania czegoś, coby się może przydało umieścić w Rocznikach. Z dalekich misyi i drobne szczegóły mają swój urok.

Najpierw co do naszej pracy tu w domu, w którym jestem umieszczoną. Nie mamy tu szczęścia poświęcania się bezpośrednio dla Chińczyków, jednakże i dla naszych licznych domowników zawsze coś dobrego czynić możemy, a grosz pozostały z utrzymania domu obraca się na wsparcie biednych domów misyjnych, w czem „Hôpital général“ jest dla prowincyi wielką pomocą. Co do naszych zajęć czas tak nam tu schodzi, że nieraz i całe tygodnie mijają, a nie można uchwycić i chwilki rekreacyi, a do dokładnego wypełnienia naszych ćwiczeń duchownych, potrzeba nieraz dokładać całej siły dobrej woli, aby ich nie opuścić. Każdy chory ma tu swojego lekarza, a jest ich przynajmniej 23, a ci odwiedzają swych chorych, kiedy się im podoba i ile razy w dniu zajdzie tego potrzeba. To też ani chwili dla siebie spokojnej często nie mamy. W każdym oddziale jesteśmy po dwie, aby urzędy ani chwilki nie były pozbawione obecności Sióstr. W oddziale mi powierzonym mam młodszą Siostrzyczkę i sześciu Chińczyków do pomocy i tak wspólnie obsługujemy oddział o 38 łóżkach.

Dalsza trudność, to chorzy wszystkich narodowości, a więc trudność z językiem. Nie istnieje ona wprawdzie dla mnie, ale dla innych Sióstr jest to ogromnie ciężkie.

Oddział nasz mieści się na jednem piętrze, a zajmuje cztery sale i dwa pokoiki dla wypadków nadzwyczajnych. Jedna sala przeznaczona na operacye, w drugiej gorączkowi, dalej starzy gderacze i żydzi i t. p. W ten sposób jest praca trochę ułatwioną. Administracya rozumie, że liczba 24 sióstr w podobnych warunkach nie jest wystarczająca, zażądała więc zwiększenia ich liczby do 30 przynajmniej, ale cóż robić, w braku powołań pewnie ich nie otrzymają i kto wie, czy nie ustąpimy tu miejsca protestanckim Nurses. Wielka to będzie szkoda, bo dom ten jest w ręku Zgromadzenia od 60-ciu lat, i wiele bardzo dusz już się pozyskało dla nieba, a także, jak powiada Mgr. Ferrant, „hôpital général“ to chluba Kościoła katolickiego. Jest to bowiem najznaczniejszy zakład tego rodzaju w Chinach, i to pod opieką katolickiego

Kościoła. Nie wiemy, jak Pan Bóg tą sprawą zarządzi, z Paryża odpowiedzi jeszcze nie mamy. Wiemy to także, że Pan Bóg do swych dzieł nikogo nie potrzebuje, czekamy więc cierpliwie spełnienia się świętej Jego woli nad nami.

Św. Józef, którego święto nadchodzi, jest u nas bardzo gorliwie czczony. Najpierw jest on Patronem Chin, dla mnie zaś patronem mojego urzędu. W wigilię jego święta, dwanaście lat temu przybyłam do Chin. Jemu to szczególnie się polecam, aby spełnić zamiary Boga, dla których mnie tu powołał.

Ale już czas zacząć cośkolwiek o Chińczykach, bo jakże list z Chin bez tego obejść się może. To tak jak być w Rzymie, a nie widzieć Papieża, zresztą ks. Redaktor Roczników ucieszy się artykułem. Będzie tytuł „Spowiedź w więzieniu"; tytuł, zdaje się, nie zajmujący, ale da on poznać trochę życie Misyonarza w Chinach, obyczaje i sprawiedliwość chińską. Opowiada o tem O. Hermans. „Przebywam niedzielę w Nemeu. Dobra tu praca: do 10 rano spowiedzie, katechizm, msza święta, po której, stojąco spożywam porcyę gorącego ryżu przyprawioną zgniłemi jajami, (to wcale nie złe), rozprawiając na prawo na lewo, zapytując tego, odpowiadając drugiemu. Nie połknąłem jeszcze ostatniej cząstki ryżu, gdy głosy się odzywają: „Ojcze, mam małą sprawę do załatwienia". Udaję głuchego, zamykam się u siebie. W parę minut, rozeszli się prawie wszyscy, tylko „małe sprawy" czekają cierpliwie załatwienia. Jednego się pociesza, drugiemu radę podaje, innego potrzeba zgromić, opowiadać szczegółowo te audyencye to nie ciekawe. Ale oto, ostatnia „mała sprawa" przybiera rozmiary bardzo poważne. Od trzech tygodni syn jednego z najpoczciwszych mych parafian jest we więzieniu; razem z trzema poganami jest oskarżony o napad na łódź pocztową i skradzenie z niej 2,500 dolarów. Czy są winni, czy nie, nie wiem. Nie chcę mówić mandarynowi, że mój chrześcijanin jest niewinny. Ojciec jego to rozumie, ale ponieważ jest pobożny i pełen wiary, lęka się, aby syn jego, nie mogąc znieść złego obchodzenia w wię-

zieniu, nie poszedł stamtąd do piekła. Prosi mię, abym poszedł do więzienia go wyspowiadać. Zgoda! Wysyłam najpierw mego katechistę, który ma przedstawić mandarynowi moją kartę i będzie przemawiał w mojem imieniu w następujący sposób: „Stary Bracie! Ojciec prosi cię o pozwolenie wnijścia do więzienia, aby wyspowiadać jednego chrześcijanina". Kiedy przybyłem do pałacu podprefekta, straż już była u bramy, aby mi oddać honory; otwierają wielką środkową bramę, zachowaną zwykle dla wielkich osobistości, i mistrz ceremonii oświadcza mi, że wielki człowiek mię przyjmie. Niema rady. Nie zbladłem odpowiadając: „Wielki dla mnie zaszczyt". Przechodzę wielki dziedziniec, potem kilka bram honorowych, podczas gdy ciekawi przeciskają się przez boczne furtki i tak znalazłem się we wielkiej sali. Tam spostrzegam grubego Chińczyka. Ten, myślę sobie, to pewnie służący mandaryna i nie myślę wcale o ceremoniale. Jakież to głupstwo byłbym popełnił. Mój mniemany służący to nikt inny, tylko sam mandaryn; domyślam się tego po jego nadzwyczaj uprzejmym ukłonie. Kilka grymasów i zdań bez treści — spoglądamy na siebie jak dwa koguty, co się zamyślają czubić, ale na szczęście obaj chcemy stać się przyjaciółmi. Pan Yang, okazuje się bardzo uprzejmym i pierwszy rozpoczyna konwersacyę o rabunku. „Potrzeba w tej sprawie postępować wolno, zebrać dokumenta; pewnie w twojem długiem życiu (powiada) nabrałeś doświadczenia". „Ależ moje życie nie jest tak długie, jak mniemasz, bracie, bezużytecznie przeżyłem tylko 35 lat (grzeczny to sposób wyrażania się w Chinach). Co się tyczy doświadczenia, sprawa sprawiedliwości nie obchodzi mię wcale. Misyonarz zajmuje się tylko sprawą duszy. Gdybym miał jakie objaśnienia podać Wielkiemu człowiekowi, uczyniłbym to z obowiązku sumienia, ale mam ufność w jego mądrości, że tę sprawę sprawiedliwie załatwi i t. d.". Podprefekt rozjaśnił twarz. „Tak, tak, mój stary bracie, zobaczysz, jak to ja sądzę". „Przyprowadzić winnych" rozkazuje. Wchodzą więźniowie, okuci w kajdany. Na klęczkach przed nami opowiadają, jak

ich schwytano. To nie daje żadnego światła. Kiedy nie zeznają tego samego, co przedtem, podprefekt rzuca na nich straszliwe wejrzenie i gromi w okropny sposób. Chciał jeszcze przesłuchiwać innych. „Bezużytecznie, powiedziałem mu, to nie mnie sądzić tę sprawę, ja proszę tylko o pozwolenie wyspowiadać jednego więźnia“. „Spowiadać, spowiadać“, tego ten uczony człowiek, cały przesiąkły Konfucyuszem, wcale nie rozumie. „Spowiadać! co to takiego?“. Młody chrześcijanin, który mi towarzyszył wykłada katechizm Wielkiemu człowiekowi, który coraz mniej rozumie rzecz, wyznaje to ze wstydem. „To nic nie szkodzi, mój stary Bracie, nie bój się, to nie są czary. Pozwolisz mi czy nie, udać się do więzienia? „Wszędzie, gdzie pójdziesz, muszę ci towarzyszyć“, odpowiada Wielki człowiek i defilada zaczyna się, a mandaryn powtarza: „Spowiadać, spowiadać! nic nie rozumiem“. Stróż otwiera kilka bram, które prowadzą na podwórze więzienne, otoczone wysokim murem. Cztery lub pięć kaźni pokrytych słomą, otoczonych kratami drewnianemi. jest mieszkaniem więźniów. Widzę, że mandaryn wcale nie ma ochoty, pokazać mi wnętrze, a może boi się tam wnijść ze mną z powodu robactwa. Każe przynieść ławki. Około 50 osób nas otacza: żołnierze, stróże, więźniowie z kajdanami u rąk i nóg, około piętnastu chrześcijan przybyłych ze mną, świta mandaryna. Przyprowadzają mi penitenta. „Chcesz się wyspowiadać?“ pytam. „Tak, ojcze“. „Uklęknij tu po lewej stronie“. Mandaryn siedział po prawej. I w obecności tej całej gawiedzi mój penitent się spowiada, mówiąc tak cicho, że ja sam tylko mogłem go słyszeć. Widziałem mego wielkiego człowieka, poruszającego się niespokojnie, wkońcu coraz mniej rozumiał, o co tu chodzi, pytając się ciągle swojego sąsiada: „Co oni tam robią?“ Aby go upewnić, mówiłem dosyć głośno, dając me upomnienia i polecenia mojemu młodemu grzesznikowi i wiedziałem na pewno, że mój podprefekt coraz bardziej głupiał i tyle z tego zrozumiał, co i formułę rozgrzeszenia. Robił całkiem minę, jakgdyby sądził, że sobie kpię z niego. „Widzisz teraz, mój

stary bracie, co się nazywa spowiedzią. Teraz koniec, i za to ci dziękuję". I przechodzę na nowo wszystkie honorowe bramy, smutny jak więzienie, które opuszczam. Zostawiam mego mandaryna zamyślonego, szukającego wytłumaczenia tajemnicy, co to znaczy „spowiedź". Zrozumiesz lub nie, mój stary, wszystko mi jedno; mój chrześcijanin się wyspowiadał, to wszystko, czego pragnąłem. Dowiedziano się potem, że po wizycie O. Hermansa w więzieniu, mandaryn obawiając się, aby misyonarz nie podał więźniowi sposobu ucieczki, kazał mu włożyć podwójne kajdany. Taka to ufność chińska dla Europejczyków.

Dodam jeszcze, że pociechą wielką jest dla nas, iż Najświętsza Panna kocha Chiny. Widywali Ją poganie w roku 1900 nad katedrą w Petang w Pekinie, jak odrzucała kule Bokserów od kościoła i zabudowań misyjnych. To było i jest jednym z powodów tak licznych nawróceń się pogan po rozruchach Bokserów.

Ponieważ jesteśmy w Pekinie dołączę tu stamtąd pocieszającą nowinę, że wikaryat północnego Czeli, liczący 38 milionów mieszkańców, a przeszło 200.000 chrześcijan, jako nastręczający zbyt wiele trudności przy wizytacyi jednemu biskupowi, podzielono na dwa wikaryaty: Pekin i Pao-ting-fu. Nowo mianowanym wikaryuszem apostolskim jest ks. Józef Fabrègues, młody, zdolny i święty kapłan. Kiedy odbędzie się jego konsekracya, nie wiemy jeszcze.

Powiem nadto kilka słów w ogólności o misyach Ks. Ks. Misyonarzy tutejszych, a najpierw o Kiaszing. Dom ten, jako dom studyów dla członków Zgromadzenia, nie odpowiada obecnie zamiarom jego założyciela, ś. p. ks. Boscat. Chciał on tu mieć, jak w domu św. Łazarza w Paryżu, nowicyat i studya dla wszystkich kandydatów w Chinach. Pokazało się że młodzieńcy z północy nie mogą się przyzwyczaić do klimatu południowego, zdrowiu ich bardzo to szkodziło. To też od zeszłego roku odbywają oni swe studya w Pekinie. Powołań z Europy wcale już niema; w Kiaszing jest obecnie tylko jeden Europejczyk na III. roku teologii,

Polak, Strzelczyk; reszta to sami Chińczycy. Nasz rodak w wigilię Bożego Narodzenia otrzymał święcenia subdyakona, przyspieszono je z powodu trudności wojskowej służby. Na przyszły rok, jak mu Bozia dopomoże, otrzyma święcenia kapłańskie.

W styczniu b. r. powrócił nasz Czcigodny Ojciec Dyrektor z wizyty odbytej w Kiangsi. Smutno było słuchać opowiadania o ubóstwie domów Bożych w tej prowincyi. W jednym dniu nie miał nawet odwagi odprawić Mszy św. widząc, że bielizna kościelna i inne przybory nie odpowiadały godności św. ofiary. I na ogólnej konferencyi, jak nam powiadał, zalecił powstrzymać się raczej z odprawieniem nabożeństw w niektórych miejscowościach aż do czasu, gdy będą stosownie do św. obrzędów urządzone. Czyż to nie smutno?! Przychodzi mi na myśl, czyby też kochane Siostry lub pobożne panie, nie mogły złożyć na ręce Czcigod. Ojca, trochę bielizny kościelnej, najniezbędniejszej przynajmniej. Tę możnaby łatwo z Paryża tu przysłać, dla ubogich misyi Ks. Ks. Misyonarzy.

W Wielkim tygodniu, poraz pierwszy będziemy miały w naszym domu wszystkie ceremonie kościelne i czuwanie nocne we W. Czwartek. Gorąco polecać będę Panu Jezusowi intencye Najczcigod. Ojca i całej prowincyi Jego pieczy powierzonej. Nie tak tu wesoło na Wielkanoc, jak w kraju. Oby Bóg dał przynajmniej w duszy „Alleluja“, to wystarczy.

Trzy lata w życiu Ks. Śliwickiego.

(1732 - 34).

II.

Ks. Śliwicki prokuratorem prowincyi.

(Ciąg dalszy).

Domom Zgromadzenia było w Polsce ówczesnej koniecznie potrzebnem uznanie przez sejm, aby ich egzystencya miała podstawy prawne. Sejm r. 1730 obradować miał w Grodnie, w drugiej połowie października. Wizytator, ks. Aumont był w podróży wizytacyjnej. Porozumiawszy się więc z nim Śliwicki, procurator causarum, rozpisuje do całej prowincyi zapytania, który dom potrzebuje aprobacyi sejmowej: do Krakowa na Zamek do ks. Kustrzyńskiego, na Stradom do ks. Augustynowicza, do Gniezna do ks. Więckowskiego, do Płocka do ks. Trochon, do Chełmna do ks. Mroczka, do Włocławka do ks. Webera, do Sambora do ks. Smoleńskiego i do Lublina do ks. Strzegockiego [1]). Dawno to już należało zrobić; ale czyto dlatego, że zaniedbano, czyteż że nie umiano wziąć się do rzeczy, a może, co jest prawdopodobniejsze, że zrywano sejmy, zanim poseł, który miał z tym wnioskiem wystąpić, dostał się do głosu; dosyć, że dotąd wiele jeszcze domów nie mogło się wykazać uznaniem prawnem. Żeby wnieść jakąbądź sprawę do sejmu, trzeba było wpierw postarać się o przyjęcie jej do instrukcyi poselskiej. „Już wyszły powtórne uniwersały na sejmiki przedsejmowe, które się dziewiątego praesentis (września) odpra-

---

[1]) Kopie listów... z 27. i 28. IX. 1730.

wować mają tam, gdzie się pierwszą razą porwały“ [1]). Ale w Warszawie odbył się dopiero piętnastego; i w tym to dniu pisze do Lublina, do ks. Strzegockiego: „Tu dziś sejmik się odprawuje, i rozumiem, że się sklei. Daliśmy projekt w sprawie naszej i invigilat hunc actum ks. Brzozowski. W Brześciu sejmik się zebrał [2]). Sejmik warszawski rzeczywiście doszedł do skutku, nie zerwano go, i projekt Misyonarzy przyjęto do instrukcyi poselskiej [3]). Zaraz nazajutrz (16.) donosi o tem ks. Aumont, który siódmego był jeszcze w Siemiatyczach, obecnie wizytował dom w Wilnie i tak miał skończyć wizytacyę, żeby w połowie października znaleść się w Grodnie na czas obrad sejmowych. Nieszczęście jednakże chciało, że fatalne liberum veto odezwało się i teraz, i wszyscy wrócili do domów, nic nie sprawiwszy: wrócił król, wrócił nuncyusz, poseł francuski, wrócił i ks. Aumont [4]).

Równocześnie musiał Śliwicki prowadzić inną sprawę. Mieli Misyonarze w Samborze bardzo ważny i wpływowy posterunek od r. 1687. Mieli parafię, szpital, dawali rekolekcye, wyjeżdżali na misye, ale weszli w ostry konflikt z rozwielmożnionem tu żydostwem. Najbardziej zaogniły się stosunki za ks. Smoleńskiego, który żadną miarą zezwolić nie chciał na wzrost deprawacyjnej potęgi. Doszło do procesów. Rozchodziło się o to, czyj wpływ ma zwyciężyć. Ale wiadomem też było, że zwycięstwo jednej strony będzie równoznacznem z zupełną klęską drugiej. Smoleński w tych ciężkich terminach uciekł się do Śliwickiego. „Informacye od WMPana posłane oraz i kopie dekretów przeczytałem i zda mi się być słuszna sprawa WPaństwa, ale trudna, dlatego, że żyd ekonomię samborską trzymać będzie. Żebyśmy jednak nie mieli co sobie samym exprobrare, powinniśmy adhibere omnem diligentiam in promovendo cultu divino et impedienda superstitione. Brakuje jeszcze między kopiami dwóch dekretów,

---

[1]) Kopie listów... 7. IX 1730 do ks. Strzegockiego.
[2]) ibidem... 15. IX. 1730 do tegoż.
[3]) ibidem.. 16. IX. 1730 do ks. Aumont do Wilna.
[4]) ibidem... 24. X. 1730 do Rzymu do ks. Vieillescases.

które citantur in ultimo decreto anni 1715 i które muszą być miastu przeciwne: jeden de die 30. martii 1696, drugi de die 6. februarii 1706. Z temi będą bezwątpienia żydzi wyjeżdżali, dobrzeby je widzieć, żeby na nie anticipative odpowiedzieć.

Będę indubitate u JMPana Kanclerza albo u JMKsięcia Podkanclerzego, który teraz sądy zadworne odprawuje i będę mu suplikował, aby niedopuszczał, żeby żydzi samborscy mieli nowy przywilej otrzymać, i zostawię JMCi o tym na piśmie memoryał i informacyę dla lepszej pamięci.

Naradzę się także z JMCP. Rybczyńskim, jakoby najlepiej mederi temu. Interim posyłam sine mora do JMCiów Ks. Ks. Aumonta i Kochanowskiego, którzy już są w Siemiatyczach, listy do nich pisane. Jeżeli accedet consensus JMC. ks. Aumonta, poszlę natychmiast copiam prosekucyi do sądów zadwornych.

Przychodzi mi na myśl jedno expediens względem dekretu konsystorza przemyskiego. Mógłby instigator officii ex delatione WPaństwa pozwać żydów do konsystorza de subpressione et errore essentiali fraudulenter imposito et per consequens de subreptitie obtento decreto. Byłoby to i z honorem konsystorza i nie bardzo trudno. Ale trzebaby wiedzieć jak tam officium affectum est erga Judaeos. Dobrzeby jednak było repraesentare JMCKs. Biskupowi" [1]).

Równie przykrą była afera, głośna swojego czasu, w Żurawicy, niedaleko Przemyśla. Do Misyonarzy w Łowiczu należała duża wieś w dyecezyi przemyskiej, Żurawica. Tymczasem ni stąd ni zowąd wystąpił Ossoliński, „capitaneus Sandomiriensis" z pretensyami do wsi, jako wierzyciel zmarłego ofiarodawcy. W każdym razie połowę wsi uważał za bezsprzeczną swą własność. Prokurator, ks. Antoni Skrzebniewicz, założył protest przeciwko takiemu gwałtowi magnata i zaapelował do najwyższego trybunału. Lecz ludzie Ossolińskiego nie zwracając uwagi na tę apelacyę a chcąc się panu

[1]) Kopie... 7. IX. 1730 do ks. Smoleńskiego. Nadto 8. IX., 5. X. 1730.

swemu przypodobać, ruszyli zająć połowę wsi. Znajdował się tam prokurator razem z klerykami seminaryum przemyskiego, którzy tu przybyli na wycieczkę jako w dzień wolny od nauki Nie myśleli oczywiście ani klerycy ani prokurator ustępować ze swojego. Ale zajazd już był z całym aparatem urządzony, ludzie Ossolińskiego rzucili się na opornych z wściekłością, pobili ich i zmaltretowali a kilku nawet poranili. Podjął sprawę odrazu sam konsystorz przemyski i wezwał winnych, pomiędzy innymi p. Cieszkowskiego przed swój sąd. Ci jednakże nie stawili się. Sąd więc konsystorski wydał na nich wyrok i ogłosił ekskomunikę. Śliwicki informuje o wszystkiem prokuratora generalnego w Rzymie, ks. Cossart, i prosi go, aby czuwał, by przypadkiem ci złoczyńcy podstępnym sposobem nie zyskali w Rzymie zwolnienia od ekskomuniki, bo już w kraju przed trybunałem najwyższym zaskarżeni wyłgać się chcą z pod ekskomuniki biskupiej, jakoby już u Stolicy Apostolskiej wystarali się o zdjęcie jej. Zrazu zdawało się, że trybunał liczyć się będzie z wpływami potężnego magnata, ale kiedy Śliwicki poruszył wszystkie sprężyny w Rzymie, w Przemyślu i w Trybunale, Misyonarze utrzymali się przy pierwotnym stanie posiadania Żurawicy i ta odtąd staje się najsilniejszą podstawą materyalnego bytu dla domu i seminaryum łowickiego[1]).

Od r. 1719 Misyonarze osiedli w Siemiatyczach koło Drohiczyna i tu objęli zarówno parafię, jak i prace misyjne. Ale i na jednem i na drugiem polu pracy znaleźli się wśród warunków zupełnie odrębnych. Było to bowiem na Rusi. Wprawdzie pasterzowanie ich miało na celu przedewszystkiem katolików obrządku łacińskiego, ale i Ruś garnęła się do nich. A ci biedni opuszczeni unici bardziej może potrzebowali ich opieki niż łacinnicy! Z Cerkwią unicką tutejsi Misyonarze spotykali się tak w parafii swej jak i na misyach. A ponieważ szczególnie podczas misyi niepodobna było usuwać się od tłumnie garnących się Rusinów, dlatego też chcieli

---

[1]) Kopie... 20. I., 27. I. 1733.

w miarę sił i możności służyć im. Jednakże odrębne ukonstytuowanie Cerkwi ruskiej sprawiało, że napotykali na liczne trudności. Dom siemiatycki odnosił się z niemi do Warszawy, do prokuratora prowincyi. — Ruś unicka ostatecznie uorganizowała się, co prawda, dopiero niedawnemi laty, bo w r. 1720 na synodzie w Zamościu, odbytym pod przewodnictwem nuncyusza apostolskiego Grimaldo. Wszystkich trudności to jednak nie usuwało, jużto dlatego, że niektórych kwestyi nie poruszano, które w praktycznem życiu, w pastoryzacyi się nasuwały, już też, że jakkolwiek w innych znów sprawach synod wydał uchwały, to przecież duchowieństwo ruskie ich nie przestrzegało ściśle. Że zaś Misyonarze siemiatyccy każdego roku kilka podejmowali wycieczek misyjnych, a wśród tłumów na misye spieszących niejednokrotnie nawet przeważali Rusini, wątpliwości stawały się piekącemi. Przybywają nietylko na kazania, ale żądają także Sakramentów, chcą spowiedzi, chcą komunii św. Zdaleka przybyli, z odległości kilku, kilkunastomilowej, księdza ruskiego w pobliżu niema, a gdzie jest, to i tak w dni powszednie mszy św. nie odprawia, a oni na wszystko proszą Misyonarzy, by im na równi z łacinnikami wolno było przystąpić do Stołu Pańskiego. Cóż więc wobec tego robić, skoro Rusinom nie wolno komunikować „in pane azymo“? Czy może dać Misyonarz komunię św. „in fermentato pane“ przez ruskiego księdza konsekrowaną? Ponieważ zaś reflektują nadto na komunię św. pod obiema postaciami, nasuwa się możliwość dodania najświętszej Krwi ze swojej łacińskiej mszy św. do postaci chleba komunii ruskiej; a taka możliwość tem uporczywiej się narzuca, że nietylko niektórzy wcale zresztą wykształceni duchowni tak utrzymują, ale nawet i praktykują, jakkolwiek synod zamojski surowy dał zakaz, pod karami. Nietylko to. Tu i ówdzie posuwają się jeszcze dalej. Zwyczajnego wina dolewają do konsekrowanych postaci chleba i tak komunię św. rozdają wiernym. A przecież i to zabronione uchwałami synodu. — W rodzinach także wiele nieporozumień z powodu podwójnego obrządku, a przej-

ścia z jednego na drugi są utrudnione[1]). — Czasem pastoryzacya rozciągnąć się musiała i do kleru unickiego. A braków i smutnych niedomagań wśród niego było tak niezmiernie wiele.

Od kilkunastu lat dom siemiatycki już istniał, rosły trudności i przeszkadzały w spełnianiu obowiązków. Trzeba więc było raz wszystko uporządkować i rozstrzygnąć. Zebrano zatem co najważniejsze i najczęściej zachodzące i przesłano do Warszawy, do ks. Śliwickiego, aby on w jakikolwiek sposób sprawę załatwił. Udał się Śliwicki, o ile wnosić można z notatek, najpierw do nuncyatury. Tu jednak nie umiano dać decydującej odpowiedzi i odesłano go do Rzymu. Sformułował zatem wszystko w kilku pytaniach do Kongregacyi, poparł dowodami i 30 stycznia 1732 r. wysłał. Odpowiedź nadeszła 5 września tego samego roku. Jak brzmiała, powiedzieć dziś nikt nie może, bo nie przechowała się, a przechowała się tylko notatka w rachunkach pocztowych, że w tym dniu nadeszła. Po pewnym czasie, 23 grudnia, a zatem w 3 miesiące później pisze do ks. Cossarta: „Posłałem do Siemiatycz, do księży naszych ustęp listu, odnoszący się do trudności przedłożonych Propagandzie. Czekać będą cierpliwie na odpowiedź“. Stąd należałoby wnosić, że pierwsza odpowiedź nie usunęła wszystkich trudności i że znów pokazały się nowe, z któremi Śliwicki powtórnie udał się do Propagandy. Może to stoi w pewnym związku ze sprawą obrządkową w Siemiatyczach, że w tym właśnie czasie dwie

[1]) Utrudnienie to wszakże różni się wielce od dziś istniejących, które sięgają dalej Obowiązywało bowiem wtedy, nawet po Synodzie w Zamościu prawo wydane przez Klemensa VIII. 1595: „Maritus latinus uxoris Graecae ritum non sequatur. Latina uxor non sequatur ritum mariti Graeci. Graeca vero uxor sequatur ritum mariti latini“. Wobec tego prośba Misyonarzy siemiatyckich a raczej Śliwickiego sformułowana jest do Stolicy św. na korzyść ruskiej części: „Saepe tamen contingit, ut compars Ruthena nullatenus velit ritum suum deserere; ex diversitate vero ieiuniorum et festorum multa in familiis incommoda et rixae oriantur; quaeritur itaque, an ob haec vitanda compars latina saltem quoad festa et ieiunia ritum Ruthenum alterius compartis sequi possit“. (30. I. 1732).

podróże odbyto z Warszawy do Siemiatycz: jedną wizytator ks. Aumont 8 lipca 1732, a drugą ks. Śliwicki 1 lipca 1733. Może w tym wypadku osobista ich obecność była tam potrzebną.

Zdarzało się, że na misyach zachodziła potrzeba rozleglejszych władz, aniżeli je dotąd Misyonarze posiadali. W imieniu wizytatora prosi Śliwicki za pośrednictwem ks. Cossarta o władzę dyspensowania w różnych wypadkach dla wszystkich superyorów i dyrektorów misyi w Polsce. Już przedtem wprawdzie posiadali niektórzy tę władzę, jak n. p. ks. Brzozowski, ale uprosili ją sobie tylko wyjątkowo w Rzymie, były ich osobistym tylko przywilejem. Śliwicki zaś otrzymał ją według brzmienia prośby równocześnie dla znacznej ilości osób, tak że odtąd nie było w Polsce domu, w którymby jeden przynajmniej Misyonarz w nią nie był zaopatrzony[1]). Pierwej jeszcze osobno podobną wyprosił dla domu gnieźnieńskiego[2]).

Również władze różne i indulgencye z Rzymu uzyskał w różnych odstępach czasu: dla domu św. Wojciecha pod Gdańskiem (16. I. 32., 10. III. 32.), dla Misyonarzy we Włocławku (21. I. 32.), dla kościoła św. Krzyża w Warszawie, dla Sióstr Miłosierdzia u św. Kazimierza (31. III. 32.), dla Białej (30. 1. 32.) i t. d...

W lipcu tego samego roku, kiedy to ks. Aumont nie było w Warszawie, jemu wypadło donieść gener. przełożonemu ks. Bonnet, o śmierci biskupa krakowskiego, Konstantego Felicyana Szaniawskiego, który tyle się zasłużył koło domów naszych w Krakowie i Lipowcu[3]). „Nastąpiła ona 2 lipca w Lipowcu, gdzie ks. biskup właśnie przebywał, aby dopilnować fundacyi swojej. Nie mamy jeszcze szczegółów, nie wiemy, czy w testamencie pozostawił jakie rozporządzenia, a zwłaszcza, czy zostawił co na budowę w Lipowcu.

[1]) Kopie listów... 9. I., 10. III. 1732. — La poste des pays étrangères: 2. II. 1731, 19. V. 1732.

[2]) Kopie listów... 2. I., 14. IV. 1732.

[3]) ibidem.. 8. VII. 1732.

Jeżeliby nic nie zostawił, to trudno byłoby wyżyć na tej fundacyi, szczególnie gdyby następca jego, którego jeszcze nie zamianowano, nie był nam przychylny, tembardziej, że cała egzystencya zależy od inkorporacyi beneficyum, której ów następca mógłby się sprzeciwić. To prawda, że ks. Aumont ma już w swych rękach 10,000 fr., o których mowa w erekcyi, ale to żadną miarą nie może starczyć.

Bogu dzięki, że ks. biskup przed śmiercią ukończył fundacyę obu seminaryów stradomskich i rozpoczął tak dobrze lipowiecką. Załączam erekcyę w oryginale, ażebyś Najczcigodniejszy Ojcze, zechciał na niej umieścić swą aprobacyę. Mam jeszcze drugi oryginał, taki jak ten, z podpisami i z pieczęciami, i posłać go chcę do nuncyatury.

Wątpię, czy ks. Aumont, który obecnie, o ile przypuszczam, jest w Siemiatyczach, wie już o śmierci ks. biskupa, lecz dowie się o niej przez umyślnego posłańca, którego wczoraj rano wysłaliśmy do niego".

Mława także potrzebuje jego pomocy, ale, że to zawiła rzecz, zdaje się, w związku z fundacyą, potrzeba więc osobistej jego obecności. Był już raz, a drugi raz pojedzie tam w komisyi z końcem listopada 1732 r.[1])

Niestrudzonym był w usługach dla prowincyi. To też widzimy, że wszystkie domy prowincyi z całem zaufaniem udają się do swego prokuratora we wszystkich trudniejszych sprawach, i niewiadomo, co bardziej podziwiać, czy to ich zaufanie, czy też usłużność, z jaką on wszystkich spraw się podejmuje i sprawność i pewność w traktowaniu ich.

Nie wymawiał się też od usług różnym osobom z poza Zgromadzenia. Biskupi: smoleński, połocki, krakowski przez Misyonarzy, przez Śliwickiego posyłali korespondencyę swą do Rzymu. Kapituły, mianowicie wileńska[2]) i starożytna kruszwicka[3]) przez niego starają się o różne przywileje dla siebie.

---

[1]) Kopie listów... 18. XI. 1732.
[2]) ibidem... 21. XI. 1731., 9. I. 1732.
[3]) ibidem... 27. I. 1733.

Najdłużej trwała i najwięcej zachodów kosztowała obrona ks. biskupa Horaina, sufragana żmudzkiego [1]). Serdecznym on był przyjacielem Misyonarzy i wielce się przysłużył domowi wileńskiemu, toteż, kiedy teraz sam był krzywdzonym przez swoich wrogów, bo chciano mu niesłusznie odebrać prawo do beneficyum jego, Misyonarze chcieli się z długu wdzięczności wypłacić i wszystkiemi siłami starali się mu dopomódz. Lwią część, bodaj czy nie połowę korespondencyi przechowanej po dziś dzień po Śliwickim, zajmuje sprawa ks. Horaina. Czasem możnaby sądzić, że Śliwicki wprost się wysila, aby jej pomyślne zakończenie zapewnić, że na niczem innem tak bardzo mu nie zależy, że usilniej tego pragnie niż sam ks. Horain, i choć ten znużony już dalej bronić się nie ma ochoty, zniechęcony długiemi bezowocnemi staraniami gotów jest dobrowolnie zrzec się wszelkich praw do archidyakonii, o którą się rozchodziło, to przecież Śliwicki trwa na stanowisku i zachęca instancye swoje w Rzymie do dalszej, niestrudzonej pracy; i niema listu pisanego do Rzymu, w którymby z całą troskliwością się nie dopytywał o stan rzeczy. A kiedy silniejsze wpływy wszystko zniweczyły i pokrzyżowały mu jego plany i zamiary i nadzieje, Śliwicki wprawdzie zdobywa się na rezygnacyę, ale gorzko czuje się zawiedzionym.

Drobne to przeważnie szczegóły, które tu wydobyto z pyłu archiwalnego. Mogą one jednakże dowodnie wykazać, jak olbrzymiej pracy i niespożytej energii Śliwicki był człowiekiem, jak chętnie pracował dla dobra domów i prowincyi, jak umiał pracować i być pożytecznym. Stąd też cieszył się słusznem uznaniem i zaufaniem wielkiem. A już

---

[1]) Sprawa ta ciągnęła się już od r. 1731.

Dalszy jej przebieg: Kopie listów... 9. I., 23. I., 30. I, 6. II., 13 II., 11. XI., 23. XII. 1732; 6. I. 1733.

Już nie ma ochoty dalej się bronić: 13. I., 20. 1., 3. II. 1733.

Chce się zrzec: 10. II., 23. II. 1733.

Nieszczęśliwe zakończenie 17. III., 23. IV. 1733.

najlepszym dowodem jednego i drugiego to to, że niezadługo (w r. 1737) wyszle go Zgromadzenie do Stolicy świętej i do różnych krajów europejskich, ażeby tam kierował sprawami Zgromadzenia. Widocznie dobrze wiedziano o tem powszechnie, że w najpewniejsze ręce składa się najważniejsze swoje sprawy, oddając je ks. Śliwickiemu.

III.

Przy śmierci króla Augusta II.

Rok 1733 rozpoczął się w historyi Polski śmiercią króla. Zgon królewski był strasznym według depesz Kennerna powtórzonych przez Sz. Askenazego w dziele „Dwa stulecia". Jakkolwiek w tej książce śmierć Augusta II. opisana jest z drobiazgową dokładnością, to przecież są pominięte niektóre szczegóły takie, które podaje pozostały po Śliwickim opis ostatnich chwil króla Augusta, a które bądź co bądź rzucają nowe światło na duszę Mocnego Sasa. A już o ile się rozchodzi o wiarogodność dokumentu, to ten jest z pewnością pierwszym i najważniejszym, bo Śliwicki o tym wypadku spisał tylko to, na co sam patrzał. Ponieważ zaś król przed śmiercią nie dopuszczał do siebie prawie nikogo [1]), przeto też wiadomości innych już są mniej dokładne.

Król August II. przyjechał z Drezna do Warszawy z początkiem stycznia 1733 r. po to, aby być na sejmie. Ale sejm otwarto wobec pustego tronu. Król bowiem już w drodze zaniemógł i do stolicy kraju przybył srodze schorzały. „Podczas burzliwych scen, odgrywających się na sali sejmowej w Zamku królewskim, on wił się w bólach, rozkładał się i dogorywał na łożu śmiertelnym w komnacie sypialnej Pałacu Saskiego" [2]). Dnia 30 stycznia zawezwano

[1]) Szymon Askenazy — Dwa stulecia — Warsz. 1903, str. 49.
[2]) ibid... str. 48.

ks. Śliwickiego do umierającego króla, a później także ks. Baudouina. Ks. Śliwicki tak opisuje to zdarzenie:

„W piątek dnia 30 Januarii 1733 JMP. Thioli przyszedł do mnie około godziny drugiej po południu y powiedział mi, że choroba krola Jmci srodze się siliła y że Doktorowie iego sądzili że zostaie w wielkim niebezpieczeństwie; przydał y to, że już mówił o tym z królem Jmcią y że w niebytności spowiednika iego jam obrany był na to, abym go na śmierć dysponował. Lubom się srodze zadziwił y zasmucił na tę żałosną nowinę, ziechałem natychmiast do Pałacu, y w krótki moment po tym JMP. Thioli wprowadził mnie do pokoju J. K. Mci. Wszyscy ci co tam byli natychmiast ustąpili. Zastałem krola JMci srodze słabego y wielkie bole ponoszącego, maiącego iednak wszelakie rozeznanie y prezencyę rozumu, ile to w takim stanie być może. Wyraziwszy kilką słów żal, który miałem widząc krola JMci tak słabego, począłem mowić do niego według powinności urzędu mego. Zdało mi się zrazu, że krol JMc mając ieszcze cokolwiek sił, nierozumiał aby miał zostawać w tak bliskim niebezpieczeństwie. Ale w momencie postrzegszy się J. k. Mość, rzecze mi, że się cale rezygnuje na wolą Bożą, y że się poddaie temu wszystkiemu, coby się Bogu podobało z nim czynić. Jam mu na to powiedział, że będąc w tych dobrych dyspozycyach, trzeba się upokorzyć przed Panem Bogiem, wyspowiadać się grzechow, y wzywać miłosierdzia iego, aby ie odpuścić raczył. Krol JMc przyjął te słowa z taką pobożnością y z tak prawdziwie chrześcianskim Duchem, żem się z tego zbudował y odniosł pociechę iakom mieć mógł w takowym razie. Powiedział mi na to, że przedtym trzy razy odprawił spowiedź generalną, żeby był rad ieszcze uczynił iednę spowiedź dożywotnią, ale że mu niepodobna było czynić ią w takim stanie, w iakim się znaydował. Zdało mi się tedy, że mu trzeba było dopomoc do uczynienia reflexyi na wszystkie grzechy całego żywota swego, aby się ich był wyspowiadał y odpuszczenie ich otrzymał. Dla czego zacząłem mu mówić że JK. Mość powinien był

reflektować się na grzechy, ktore popełnił nie tylko jako człowiek, ale ieszcze iako krol. Na te ostatnie słowa przerwał mi mowę krol JMc y rzecze mi bespiecznym tonem, tak że widać było, że mowił ex fundo cordis, że protestuie się przed Bogiem, ktoremu ma dać rachunek ze wszystkich spraw swoich, że nigdy niczego innego nie szukał tylko dobra pospolitego y uspokoienia Polski. Potym potrosze, ile mu boleści wolny iaki moment dawały, wyznawał grzechy swoie y spowiadał się ich iako dobry chrześcianin y prawdziwy katolik.

„Że zaś już prawie przez dwie godziny zabawiłem się był z JKMcią, y że mi się nie zdało być tak bliskie niebespieczeństwo, rozumiałem, że należało mu dać nieco odpoczynku y niezbyt go fatygować: umowiwszy się z JKMcią, że nazajutrz rano miał przyjąć Wiatyk y ostatnie pomazanie, wyszedłem z pokoju nie oddalając się jednak od Pałacu. Przez cały wieczor zabawiłem się w Pałacu. W poł do iedenastej wszedł do Krola JMci JMP. Bryll. Jam czekał, ażby z tamtąd wyszedł, abym się był dowiedział, iako się ma Krol JMc: a dowiedziawszy się, że się ma gorzej, zdało mi się, że już nie trzeba było odkładać administrowania mu sakramentow świętych. Posłałem tedy zaraz do św. Krzyża po Wiatyk i Oley święty: y potym wszedłem około samey jedenastey do pokoiu krolewskiego, abym był jeszcze lepiey dysponował JKMość do przyjęcia Sakramentów. Trwała przez całą godzinę i więcey ta dyspozycya, po którey dałem mu rozgrzeszenie. W tym przyiechał już po północy JMX. Baudouin Misyonarz z Wiatykiem y Oleiem świętym, a Krol JMc uczyniwszy ze mną akty wiary, nadziei, miłości Boskiey, skruchy, rezygnacyi na wolą Bożą; oświadczywszy się, że odpuszcza wszystkim nieprzyjaciołom swoim, y że prosi o odpuszczenie tych, których w czym mógł obrazić: przyiął z rąk JMXa Baudouina pobożnie y z nabożeństwem Wiatyk; y z takowymiż dyspozycyami odebrał ostatnie pomazanie, które mu iest dane przez tegoż Misyonarza. Skończyło się to wszystko o drugiej godzinie po połnocy.

„W sobotę 31 Januarii przebyłem cały dzień na Pałacu. Po południu Krol JMć był trochę spokoynieyszy: bole iego nieco były mu pofolgowały y w tenże dzień iadł lepiey niż innych wszystkich dni od swego przyiazdu do Warszawy. JWJX. Nuncyusz przyjechał do Pałacu nawiedzić Krola JMci y zostawił krzyżyk z indulgencyami na godzinę śmierci, który mi tegoż dnia iest oddany przez JMci Pana Podskarbiego Nadwornego Koronnego. Nie odszedłem z pałacu aż o połnocy.

„W niedzielę zaś 1 Februarii o piątey z rana dano mi znać, że krol JMc bardzo się źle ma, konać zaczyna. Spieszyłem jak tylko było można do JKMci; ale kiedym przybył, już był Krol JMc mowę y rozeznanie stracił. Nic mi tedy więcey do czynienia nie zostawało tylko odprawić: Commendationem animae. Zatym Krol JMc dokończył życia swego spokoynie y w lekkim bardzo konaniu. W godzinę po tym JMP. Bryll dał znać JMci Panu Marszałkowi WK. o śmierci królewskiey. O godzinie dziesiątey odprawiłem mszą w pierwszym pokoiu appartymentu Krola JMci. Po skończoney mszy JMc P. Marszałek WK. y Xże JMc Biskup krakowski kanclerz koronny przyjechali nawiedzić ciało krolewskie. Nie opuszczę tutei y tego, że Krol JMc powiedziawszy mi, że sług swoich Xciu JMci Synowi swemu zaleca, dołożył y to, że życzy, aby tenże Xże JMc uczynił iaką fundacyą na ubogich.

„Przy końcu tey krotkiey relacyi mogę prawdziwie to powiedzieć, że w tych ostatnich godzinach życia swego Krol JMc pokazał po sobie nietylko wielkość umysłu, z ktorey pochodziło, że się zapatrywał na śmierć, iako się na nią wielcy ludzie zapatrować zwykli, ale też, co nam większą konsolacyą uczynić powinno, pokazał po sobie wszystkie sentymenta, których się w dobrym chrześcianinie kto spodziewać może. W wielkich y ustawicznych, które ponosił, boleściach, miał cierpliwość, która się bardzo rzadko trafia. Nigdy nie narzekał, y nie przestawał przez wszystek ow czas wzywać Świętego Imienia Jezus. Możemy słusznie rozumieć, że mu

Bóg uczynił miłosierdzie, ponieważ mu wyświadczył tę łaskę, że umarł śmiercią sprawiedliwych".

Tak z pobudek nadprzyrodzonych konkluduje Śliwicki wróciwszy z Pałacu Saskiego do św. Krzyża. Takie myśli mu się nasuwały, kiedy patrzał na dopiero co zastygłe ciało króla. Innym jest wniosek historyka wzwyż wymienionego. „Sąd dziejowy polski o tym królu polskim może być tylko jeden. Nie może wypaść inaczej, — już po najsprawiedliwszem uwzględnieniu wszelkich okoliczności łagodzących, — jak tylko bardzo surowo. Nie może być innym, — już po najskrupulatniejszem odważeniu wszelkich za i przeciw, — jak tylko wyrokiem potępienia". Kto ma słuszność po swojej stronie, i o ile każdy ma słuszność, nie trudno osądzić, jeżeli dobrze rozróżnimy zasadniczy punkt wyjścia jednego i drugiego. Słowom Śliwickiego żadnego komentarza nie potrzeba dodawać.

Oprócz tej jednakże różnicy zdań w ostatecznej ocenie króla, zaznaczyć wypada jeszcze inne różnice zachodzące w tych dwu relacyach. I tak: agonia króla według Askenazego była momentem pełnym grozy, odmalowanym przezeń najjaskrawszemi barwami. „Leżał w bólach straszliwych ciała i ducha, leżał samotnie, w rozpaczy i przerażeniu. Nie dopuszczał do siebie nikogo oprócz lekarzy i służby. Napróżno dobijali się do niego Czartoryscy, wyczekujący, jak zbawienia, podpisu dyplomów. Napróżno, za parę tysięcy dukatów przekupili kamerdynera królewskiego, żeby umierającemu podsunął myśl przywołania do siebie bądź Poniatowskiego, bądź podkanclerzego księcia Michała, bądź biskupa Załuskiego. Król o niczem nie chciał słyszeć. Nie chciał widzieć nikogo, a najmniej Czartoryskich. Nazywał ich sprawcami swojej śmierci, obwiniał, iż rozmyślnie sprowadzili go do Warszawy, aby przyspieszyć jego skonanie. „Niechaj przynajmniej, wołał, dadzą mi umrzeć spokojnie". Podnosił oczy do góry, zaciskał pięście i krzyczał: „o łotry, oh coquins!" Cierpiał okropnie. W nocy z 31 stycznia na 1 lutego zaczęła się agonia. O 2 nad ranem przyjął ostatnie

sakramenty. Wtedy zawołał donośnym głosam: „Boże, zmiłuj się nademną, całe moje życie było jednym nieprzerwanym grzechem: „mein ganzes Leben war eine unaufhörliche Sünde“. Wnet utracił przytomność. O piątej nad ranem był trupem Jeszcze nie minęło trzech tygodni od pijatyki krośnieńskiej. Tak we wspaniałym pałacu królewskim, w swojem stołecznem mieście Warszawie, a odarty z majestatu we własnej duszy, osamotniony pośrodku własnych poddanych ze smakiem wina na ustach i podziału Polski w mózgu, umarł August II.“. Wyrażenia godne dramatu, tragedyi. Ale jakże bardzo odstępują od tego, co referuje naoczny świadek, najbardziej kompetentny sprawozdawca tej chwili, Śliwicki. Powiada i on: „zastałem króla srodze słabego i wielkie bole ponoszącego“ (30/I.), i powiada: „po południu (31/I.) król był trochę spokojniejszy“ a więc przedtem niespokojny, ale też tylko tyle; o rozpaczy, o zaciskaniu pięści, o okrzykach rozpaczliwych ani słówka. Chyba trudno przypuścić, żeby takie silne wyrażenia, tragiczność chwili podnoszące sceny, dobór jaskrawych kolorów stanowiły tylko dekoracyę i bogatą akcyę, potrzebną dramaturgowi, aby na takiem tle pełnem grozy, trwogi i przerażenia tem lepiej wystąpił ostateczny werdykt, wyrok potępienia na bohatera tragedyi. Niema też ani w depeszach Kinnerna [1]) nic podobnego; on nawet tego nie widział i nie słyszał.

Dalsza różnica pomiędzy obiema relacyami, to ta, że u Kinnerna i Askenazego żadnej niema wzmianki ni o Śliwickim ni o Baudouinie. Zapewne, zarówno Kinnerna jak i Askenazego mogły nie obchodzić te dwie osoby, i jeden i drugi miał cele innej natury na względzie, ten i tamten pracował przedewszystkiem dla polityki i dla historyi politycznej, a kto z administracyą sakramentów przybył, mogło im być najzupełniej obojętnem. Prawda i to, ale jeżeli pełna prawda, i najakuratniejsza dokładnosć miała być osiągnięta,

---

[1]) Sz. Askenazy — Dwa stulecia str. 385.

to i o tem należałoby wspomnieć. A nawet jest coś z tego, bo wymienia depesza [1]) jakiegoś „Abbé Saint- Germain“, który jeszcze 3 godziny przed śmiercią pytał króla, czyby się jeszcze raz nie chciał spowiadać, otrzymał w odpowiedzi słowa dopieroco przytoczone: „Gott erbarme sich meiner, mein Leben war eine unaufhörliche Sünde“. Ale kto wie, czy to nie pomyłka, kto wie, czy p. Kinnernowi nie powiedziano Abbé Baudouin, a on nie zrozumiał dobrze i zadepeszował Abbé St. Germain, albo też czy Pawiński, który sporządzał odpisy i wyciągi tych depesz, nie przeczytał mylnie z manuskryptu St. Germain zamiast Baudouin. Bo to podobne, a jednak nie to samo. A przecież i wtedy byłaby niedokładność; bo ostatnie sakramenta św. przyjął król 30 stycznia wieczorem o g. 11 z rąk ks. Baudouina, a nie, jak chce relacya Kinnerna, za którą idzie Askenazy, o g. 2 z rana 1 lutego. Wtedy bowiem w sam raz nie było tam żadnego księdza. Śliwicki był w pałacu w piątek 30 stycznia i wtedy spowiadał króla; był przez cały dzień następny, t. zn. przez sobotę 31 stycznia i to aż do późnej nocy, bo wyszedł do św. Krzyża dopiero o północy, wrócił znów o 5 g. rano w niedzielę 1 lutego. Możnaby więc jedynie przypuścić, że w tym czasie, pomiędzy północą a 5 godziną rano, podczas nieobecności Śliwickiego, kiedy król już konać zaczął, jakiś ksiądz, czy się nazywał St. Germain czy inaczej, udzielał sakramentów św. Ale niemożliwem jest takie przypuszczenie. Nie było wprawdzie Śliwickiego, lecz nie było między północą a 5 g. także żadnego kapłana w pałacu: nie było Baudouina, i on ich teraz ponownie nie udzielił, bo już raz to zrobił, a gdyby nawet powtórzył, co trudno przypuścić, to z całą pewnością byłby wspomniał o tem Śliwicki w swym opisie; nie było również zwyczajnego spowiednika królewskiego, jak to zaraz z pierwszego zdania relacyi Śliwickiego wynika; ani nie było innego kapłana, bo „krzyżyk z indulgencyami na godzinę śmierci“, który przy-

[1]) ibidem.

wiózł Nuncyusz, oddano Śliwickiemu. Nikt więc w tej nocy z 31 stycznia na 1 lutego nie administrował królowi sakramentów. Odbyła się wprawdzie administracya ich, i w tem ma depesza Kinnerna i Askenazy racyę, ale nie mogła mieć miejsca w owych 5 godzinach, tylko tak, jak Śliwicki to opisuje, w piątek 30 stycznia o g. 11 wieczorem, a skoro tak, to i ów Abbé St Germain nie jest niczem innem, jak tylko najzwyklejszą pomyłką, w której naprawdę z Baudouina zrobiono St. Germaina. Mało już na tem zależy, czy to depesza Kinnerna przekręciła to nazwisko niedobrze posłyszane czy też odpis Pawińskiego z manuskryptu nie dosyć czytelnego dokonany. Ale faktem jest, że Abbé Baudouin przemienił się na Abbé St. Germain.

Również godzina zgonu królewskiego jest inna według relacyi Kinnerna, a zatem i Askenazego, który we wszystkich szczegółach dotyczących śmierci Augusta II. polega na tych depeszach, a inna według dokładnego opisu Śliwickiego, naocznego świadka.

„Wnet utracił przytomność. O piątej nad ranem był trupem“, czytamy w dziele Askenazego [1]). A Śliwicki mówi, że później. W tym opisie nie oznacza wprawdzie dokładnie czasu, ale dowiemy się o nim skąd inąd. — Wezwano go na nowo o 5 rano, bo „król konać zaczyna“. A więc o godzinie, podanej przez Askenazego dopiero konanie się rozpoczęło. Spieszył się, „jak tylko było można“, ale już przyszedł za późno, król „już był stracił mowę i rozeznanie“. „Nic mi tedy więcej do czynienia nie pozostało tylko odprawić Commendationem animae. Zatym król JMc dokończył życia swego spokojnie i w lekkim bardzo konaniu“. Tu zatem czas nie jest ściśle określony. Jest natomiast gdzieindziej. A mianowicie w listach Śliwickiego. Jeden z nich pisany jest do Knabego, krewnego ks. Śliwickiego, przebywającego w Paryżu, a drugi do ks. Cossarta do Rzymu, oba

[1]) Askenazy — Dwa stulecia... str. 49.

po francusku, oba z tą samą datą, 3 lutego 1733 [1]). Według tych listów zgon nastąpił 1 lutego 1733 rano o godzinie 6.

Są więc znaczne różnice pomiędzy obu relacyami. Są liczne pomyłki u Kinnerna, które w błąd wprowadziły znakomitego dziejopisarza. Ale nic w tem tak dalece niema dziwnego. Przecież obie relacye jednozgodnie stwierdzają, że utrudnionym był dostęp do króla; zarówno depesza Kinnerna jak i listy [2]) Śliwickiego świadczą o tem, że przez długie godziny umiano śmierć króla utrzymać w tajemnicy, a wieść o niej dopiero pod wieczór rozeszła się po mieście. To zapewne i okoliczności, śmierci towarzyszące, tajemniczością otaczano, a Kinnerna z pewnością nie zaproszono do grona wtajemniczonych. O wszystkiem dowiadywał się dopiero później, od innych, i musiał na słowo przyjmować, co i jak się komu podobało jemu opowiedzieć. Śliwicki zaś zanotował sobie to, na co sam patrzał i o czem wiedział najdokładniej, daleko dokładniej niż ktokolwiek inny. Całkiem zrozumiałą więc jest rzeczą, że opowiadanie jednego musi się różnić od opowiadania drugiego. Ale też z tego zestawienia wynika, jaki temu a jaki tamtemu należy się stopień wiarogodności.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Kopie listów. . 3. II. 1733.
[2]) ibidem...

Ks. W. Szymbor.

Z podróży na Wschód.

18. W starożytnej bazylice Matki Boskiej w Efezie.

Wśród naszych przechadzek w tej części miasta spotykamy także kilka starochrześcijańskich bazylik. Jak widzimy z enkomium Cyrylla, wygłoszonego przy otwarciu soboru w Efezie, miasto liczyło mnóstwo bazylik. Między innemi takie wygłasza pochwały: Ciesz się grodzie Efezyjczyków, a raczej władczyni morza, gdyż zamiast ziemskich portów dostały ci się w udziale przystanie anielskie i niebieskie. Ciesz się, chlubo dyecezyi azyatyckiej, gdyż ze wszech stron otaczają cię w koło, jakby perły drogocenne, przybytki świętych, a teraz uświęconą jesteś stopami licznych świętych ojców i patryarchów. Słusznie bowiem chlubić się mogą z pobytu świętych ojców twe ulice, twe bramy, twe porty. Wtenczas gdy arcybiskup wygłaszał ten panegiryk, gwiazda Efezu już dawno była zgasła. Wspaniałe świątynie bogów, cudne place i ulice zostały w III. w. doszczętnie zniszczone przez Gotów. Nawet Artemizyum nie doczekało się odbudowania. Dopiero cesarze chrześcijańscy z pobożności ku świętym, którzy tu przebywali, poczęli tu stawiać bazyliki, które jednak nie dorównały świetnością kościołom stolicy. Z tych czasów przechowała się w stosunkowo dobrym stanie wspaniała katedra efezka, w której się odbywały owe wiekopomne synody z r. 431 i 449. Jest to nadzwyczaj interesujący budynek, zwany powszechnie podwójną bazyliką. Świątynia zewnętrzna, budowana z marmuru, zamyka w sobie drugą bazylikę zna-

cznie mniejszą, budowaną z cegły. Jest to prawdziwa zagadka dla archeologów, czy bazylika większa czy też mniejsza jest starszą. Prawdopodobnie pierwsza jest starszą, gdyż jest większa i wspanialsza, a nadto z cenniejszego materyału zbudowana. Widocznie później, kiedy Efez podupadł, nie próbowano już odnawiać dawnej bazyliki, ale kontentowano się mniejszym budynkiem umieszczonym na tem samem miejscu. Dzisiaj nie ulega już najmniejszej wątpliwości, że tutaj odbyły się obydwa synody, 431 i 449, gdyż akta synodalne stwierdzają, że ojcowie zebrali się w wielkim i świętym kościele pod wezwaniem „Maryi", podczas gdy ewangelia św. leżała w pośrodku na tronie. Także nazywa się ta bazylika „św. Marya".

I właśnie na jednej inskrypcyi biskupa Hippacyusza z czasów Justyniana nazywa się ten kościół „Najśw. Marya Bogarodzica zawsze Panna". Bazylika była istotnie znacznych rozmiarów, gdyż nawa środkowa wynosi 400 metrów kwadratowych obszaru.

Do bazyliki wspomnianej przylega wielki gmach, który prawdopodobnie jest owym pałacem arcybiskupim, w którym odbyła się II. i VI. sesya Synodu z r. 461. Doskonale odróżnić można plan tej wspaniałej świątyni, gdyż prawie dokoła do znacznej wysokości dochodzą mury zewnętrzne. Ze szczególniejszą czcią i pietyzmem zwiedzaliśmy to miejsce, w którem niegdyś zebrani ojcowie święcili tryumf Tej, która była Bogarodzicą i którą się opiekował św. Jan, na zawsze związany z Efezem. Wszędzie spotykamy całe mnóstwo napisów greckich, malujących nam dzieje tej wspaniałej bazyliki. Jest to może pierwszy kościół, poświęcony czci Matki Najśw. Tam, gdzie niegdyś z takim zapałem oddawano kult Dyanie, teraz nawrócone miasto potem Apostołów Pawła i Jana i ich uczniów czci Bożą Rodzicielkę. Z trudem prawdziwie oderwaliśmy się od tych pięknych wspomnień. Naprzeciwko nas widzimy wzgórze, a na nim wieżę, którą tamtejsza ludność czci jako więzienie św. Pawła. Wprawdzie wieża ta, to tylko dawniejszy fort efezki i pewnie nigdy nie

służyła św. Pawłowi jako kaźń, gdyż o niczem podobnem nie wspomina nam historya. Z bazyliki udaliśmy się na skaliste wzgórze, które według Curtiusa i O. Prata miało być najstarszem miejscem kultu miasta Efezu. Znajduje się ono tuż naprzeciwko stadyonu, którego olbrzymie szczątki, kryją się wśród wysokich i pożółkłych traw. Czyżby tutaj w tem stadyum był walczył św. Paweł z dzikimi zwierzętami, jak to wspomina w liście do Koryntyan? Spodziewać się należy że wykopaliska, jakie tutaj w przyszłości podejmą archeologowie z pewnością niejedno rzucą jeszcze światło na działalność św. Pawła. Znaczniejszych pomników nie spotykamy po drodze, tylko resztki wspaniałej i olbrzymiej bramy jońskiej, której potężny łuk środkowy jeszcze nie uległ zniszczeniu. Na szczycie jej gnieżdżą się bociany, jedyni mieszkańcy zapowietrzonej przez malaryę okolicy. Gdzie niegdyś tak bujne rozwijało się życie, dzisiaj cisza zalega grobowa; tysiąc lat rozwijała się tutaj kultura grecko-rzymska, a drugi tysiąc krzyż Chrystusów tutaj zatknięty świecił jako sztandar całej Azyi. Dzisiaj żywej tu nie spotkasz duszy, bo mieszkańcy dawniejsi uciekając przed przemocą turecką, schronili się o trzy godziny stąd na wschód wśród gór niedostępnych, by bronić symbolu swej wiary przed mieczem wyznawców półksiężyca. Stoimy wobec szczątków drogocennych, wobec olbrzymiego cmentarzyska i pragnęlibyśmy, choć na chwilę uprzytomnić sobie to życie bujne, jakie niegdyś tu kwitło. Bo jakżeż nie pragnąć przeniknąć myślą tych czasów i tych ludzi, którzy tak wielkie po sobie zostawili pamiątki. Jako poganie żyją jeszcze dzisiaj wśród potężnych teatrów stadyonu, rynków, biblioteki, a jako chrześcijanie wystawiają sobie chlubne świadectwo swej wiary, której żywe szczątki złożone są w pismach św. Pawła i św. Jana.

19. Stosunki wewnętrzne Efezu z czasów Apostołów.

Na podstawie dokonanych dotąd odkryć w Efezie i rozlicznej literatury, możemy sobie dokładnie odtworzyć życie

panujące w miastach. ewangelizowanych przez św. Pawła. Wiemy już, że w Efezie obok ćwiczeń gimnastycznych, oddawano się także z ochotą literaturze i sztuce. W czasach cezarów dzięki uporządkowanym stosunkom, miasta azyatyckie dochodzą do potężnego rozwoju ekonomicznego. Rzymianie szanując demokratyczne instytucye zaprowadzone przez Aleksandra W., umieli jednakże bardzo delikatnie powściągać wybujałość urzędników demokratycznych. Zostawiając wszelkie pozory samorządu, zastrzegli sobie równocześnie gubernatorowie sankcyę wszystkich ustaw i rozporządzeń. Rzymianie umieli szanować narodowy indywidualizm Greków, a schlebiając ich próżności i upodobaniom małostkowym umieli zdobyte kraje trwale przywiązać do siebie. Głównem źródłem dochodów w ówczesnych miastach azyatyckich był przemysł i handel. Rzymianie popierali go też z całą usilnością, czem sobie odrazu zdobyli przychylność wszystkich bogatych firm azyatyckich. Ludność zaś uboższa wszędzie znajdowała łatwy zarobek, czy to na targach, portach, czy przy budowie olbrzymich dróg, jakie przedsiębrali Rzymianie. Z napisów odkrytych w Efezie dowiadujemy się, że przemysłowcy i rzemieślnicy związani byli w cechy i związki zawodowe. Z tych najpotężniejsze były cechy tkaczy; wysoki płaskowyż małoazyatycki żywił na swoich stepach miliony kóz i owiec, dających najcenniejszą wełnę, którą już wówczas umiano przerabiać na najwspanialsze materye, farbując ją na purpur. Dalej w Efezie kwitnął także rozległy handel drzewem, które z portu wywożono do innych części państwa rzymskiego. Na szczególniejszą uwagę zasługuje także cech złotników i jubilerów wyrabiających na sprzedaż liczne ekswota z wyobrażeniami Dyany. Na napisach spotykamy także cechy bankierów, rybaków, właścicieli łaźni, piekarzy, rzeźników, istnieje nawet wielka rzeźnia miejska. Przechowane pomniki i płaskorzeźby a zwłaszcza liczne mozaiki układane w najpiękniejsze desenie wskazują, jak wysoko stała t. zw. sztuka przystosowana. Wyrobiła się nawet osobna gałąź sztuki znana jako genus Asianum.

Obok rzemiosł poczetne stanowisko zajmuje w Efezie stan lekarski. Kult Asklepiosa wysoko kwitnął w miastach azyatyckich. Wspominaliśmy już także jak wielki nacisk kładziono na naukę, jak Efez współzawodnicząc z innemi miastami stara się przyciągnąć w swe mury najwybitniejszych uczonych i wysokiemi premiami i honorami publicznymi, stara się ich stale przywiązać do siebie. Nie możemy jeszcze jednej okoliczności pominąć, kreśląc stosunki w miastach azyatyckich, tj. głębokiej ich religijności. Na każdej niemal ulicy i większym placu stoją świątynie, przeróżnych bóstw, na cześć których poświęcano prawie połowę roku. Jeżeli w Rzymie liczono 135 a później nawet 175 dni świątecznych w roku, nie mniejsza ich liczba była także w Azyi. W Efezie cały jeden miesiąc poświęcony był czci Artemidy. Lud do sytości mógł się ubawić w czasie tych uroczystości, mógł zaspokoić żądzę wrażeń, jakich mu dostarczały najdziwaczniejsze kulty swymi korowodami, mysteryami, ofiarami, z któremi łączyły się zawsze obfite uczty i piatyki. Wówczas rozdawano między lud obfite jałmużny; kąpiele, gimnazya, teatry stały dla wszystkich otworem. Place publiczne i wspaniałe drogi oświetlano nawet w nocy, dla wygody ludu. Dodajmy do tego jeszcze koncerta urządzane w Odeonie, wyścigi w olbrzymiem stadyum, walki byków i gladyatorów, różne sztuczki akrobatów, wróżbitów, wspaniałe obchody pogrzebowe i weselne, wjazdy tryumfalne cesarzy i zwycięskich wodzów, a będziemy mieli jakie takie pojęcie o ruchliwem życiu metropolii Efezu. Nudów z pewnością nie doznawali. W takiem to ruchliwem środowisku rzuca św. Paweł a później św. Jan ziarna nauki ewangelicznej, która dzięki sprzyjającym okolicznościom w niespełna 100 lat w bujny rozwija się kwiat.

Dla pełności obrazu dorzućmy jeszcze kilka wzmianek o żydach w Azyi. Schürer w 3. tomie swego dzieła Geschichte des jüdischen Volkes daje nam wyczerpujący szkic wpływu żydowskiego w państwie rzymskiem. Philo w dziele swojem: Legatio ad Cajum (§ 36 ed. Mangold t. II. str. 587) mówi co następuje: Jeruzalem jest nie tylko stolicą Judei, ale także

rozciąga swój wpływ na wszystkie kraje, do których przy każdej sposobności wysyła swoich kolonistów jak do Egiptu, Fenicyi, Syryi, Coelesyryi, Pamphilii, Cylycyi i do najodleglejszych zakątków Azyi, Bythynii i Pontu; także koloniści żydowscy zamieszkują Tessalię, Beocyę, Macedonię, Etolię, Atykę, Argos, Korynt. Nie tylko na lądzie stałym ale także znaczniejsze wyspy jak Eubea, Kreta, Cypr zamieszkane są przez żydów. Także Dzieje Ap. r. II. 9—11 wykazują, że na święta schodzili się żydzi i prozelici z Partyi, Medyi, Elamu, Mezopotamii, Kapadocyi, Pontu, Azyi, Frygyi, Pamphylii, Egiptu, Cyrenaiki, z Rzymu, Krety i Arabii. W Azyi już w czasach Arystotelesa spotykamy żydów. I tak Klearch biograf Arystotelesa opisuje, że ten wielki filozof rozmawiał w Małej Azyi z żydem, który nie tylko władał dobrze językiem greckim, ale przejęty był także duchem helleńskim. Antyoch W. osiedlił 2 tysiące rodzin żydowskich we Frygyi i Lydyi. Szczególniej w pierwszym wieku przed Chr. Panem wzmocnił się żywioł żydowski w Małej Azyi, na dowód czego niech posłużą liczne dokumenta. zestawione u Flawiusza Józefa Antt. XIV, 10 i XVI. 6, a także w mowie Cycerona pro Flacco. Wszędzie cieszyli się żydzi w państwie rzymskiem wielkimi przywilejami. Byli uwolnieni od służby wojskowej i zorganizowani w osobne gminy wyznaniowe, które wobec prawa rzymskiego mogły w swobodnym kontakcie zostawać z gminą jerozolimską. W wielu także miastach otrzymali żydzi prawa obywatelstwa. I tak prawdopodobnie już Antyoch II. Theos (261—246 a. Chr.) żydom zamieszkującym Efez nadał prawo obywatelstwa. Szczególniejszym przyjacielem okazał się dla nich Cezar; a kiedy w czasach Augusta chciano ich przymusić do oddawania kultu bałwanom, wtenczas dzielnie bronił ich stanowiska uprzywilejowanego Marek Agryppa. Prawie w wszystkich miastach azyatyckich napotykamy ślady żydów. I tak w Smyrnie; widzimy z aktów męczeńskich Polykarpa (Martyrium Polycarpi XII—XIII i XVII—XVIII). Jak wielką odgrywali żydzi rolę przy męczeństwie św. Polykarpa tak, iż nawet w szabat nie mogli się powstrzymać od noszenia

drzew na stos. Już Apokalipsa maluje nam wrogie usposobienie żydów wobec chrześcijan. W r. II, 9 wychwala Chrystus cierpliwość anioła kościoła smyrneńskiego, oraz jego zasługi wobec prześladowań tych, którzy się nazywają żydami, w rzeczywistości zaś są synagogą szatana. Szczególniej liczne posiadamy dokumenta odnośnie do żydów w Efezie. Kiedy konsul Lentulus w 49. a. Chr. czynił pobór do wojska w interesie partyi Pompejusza uwolniono żydów efezkich od służby wojskowej, którzy posiadali obywatelstwo rzymskie. (Antt. XIV, 10, 13. 16. 19). W r. 43 a. Chr. odnowił ten przywilej Dolabella przyznając im równocześnie wolność religijną. Tosamo uczynił w rok później M. Junius Brutus. W czasach Augusta raz po raz upominano władze efezkie, aby nie przeszkadzały żydom w przesyłaniu pieniędzy i ofiar do Jeruzalem. Jaki zaś wpływ mieli żydzi w Efezie, tośmy widzieli powyżej przy opisie rozruchów, wszczętych przez Dymetryusza przeciwko Pawłowi (Act. Ap. XIX). Także odnaleziono w Efezie dwa napisy grobowe, jakie wybitnym współobywatelom wystawili żydzi. Jeden Mojżeszowi, synowi Jaira, a drugi jakiemuś Juliuszowi, piastującemu godność naczelnego lekarza (Ancient gr. inscriptions in the Brit. Mus. III. 2 n. 676, 677). Także wspomniana jest w Dz. Ap. synagoga żydowska w Efezie (Act. XVIII, 19—27 i XIX, 8).

20. Stadium i Artemisium w Efezie.

W dalszym ciągu zwiedziliśmy jeszcze ruiny potężnego stadyonu wcinającego się głęboko w stok góry Pryon. Stadyon leży przy samych murach miejskich Efezu Pawłowego. Dzisiaj stanowi tylko masę niekształtnych zwalisk, i niepodobna nawet bliżej określić, z których czasów pochodzi, chyba nowe wykopaliska sprawę tę bliżej wyświetlą. Wspomina św. Paweł w swym liście do Koryntyan, o jakiejś walce z dzikimi zwierzętami (cf. 1 Cor. XV, 32 Si secundum hominem ad bestias pugnavi Ephesi...) Czyżby św. Paweł tem wyrażeniem chciał zaznaczyć, że był rzucony w stadyonie dzikim zwierzętom na pożarcie? Nie można przecież tego

wyrażenia rozumieć o walce, jaką miał stoczyć z okazyi buntu Demetryusza, gdyż to miało miejsce dopiero po napisaniu listu. Po drodze ze stadyonu do starego Efezu spotykamy jeszcze dobrze zachowaną bramę miejską.

Wspominałem już, że pierwotny Efez, jak przypuszczają wszyscy archeologowie skupiał się na wzgórzu Ajasoluk. Olbrzymie terytoryum aluwialne, jakie w ciągu wieków powstało w delcie rzeki Kajstros, według sumiennych badań Bendorfa przedstawiało tylko dwa miejsca, gdzie mogło się zabudować większe miasto; mianowicie wzgórze Kuru-Tepe i wzgórze Ajasoluk. Zauważył jednak Bendorf, że pierwsze wzgórze jest prawdopodobnie identyczne ze wspomnianą przez Pliniusza wyspą Syrye. Zatem pozostałoby tylko wzgórze Ajasoluk.

Właśnie ta nieznajomość położenia starego Efezu sprawiła, że przez długi czas, nie można było odnaleźć śladu greckiej świątyni Artemidy. Od w. XVI. aż do naszych czasów szukano jej w ruinach potężnych term, o których dzisiaj napewno wiemy, że pochodzą z czasów Konstancyusza. Dopiero Woodowi udało się odnaleźć położenie świątyni. Znalazł ją u stóp wzgórza Ajasoluk, właśnie tam, gdzie prawdopodobnie wznosił się pierwotny Efez. Zaraz przedsięwzięto staranne wykopaliska, które jednakże połączone były z wielkimi trudnościami, gdyż na miejscu dawnej świątyni znajdowały się wielkie moczary. Wood swoich wykopalisk nie prowadził systematycznie, bo chodziło mu raczej o to, aby jak najwięcej cennych okazów greckich zebrać do British Museum. Dopiero towarzystwo austryackie zakupiło kawałek gruntu przytykający do posiadłości angielskiej i na podstawie odkryć tu dokonanych mogło tylko stwierdzić, jak wysoko nad poziom morza znajdowały się fundamenta dawnej świątyni. Jeden z pośród uczonych z kampanii austr. Wilberg zadał sobie trud, aby obliczyć rozmiary świątyni greckiej. Według jego badań świątynia przedaleksandrowska była długa 104 m. 90 cm., a 50 m. i 25 cm. szeroka. Na podstawie ruin można było stwierdzić, że świątynia, jaką zbudowano po Aleksandrze Wielkim miała te same rozmiary,

co dawniejsza. U starożytnych pisarzy, którzy podziwiali świątynię Artemidy, jako jeden z cudów świata znajdujemy jej liczne opisy. Według tradycyi greckiej istniały przynajmniej trzy świątynie, budowane na temsamem miejscu. Ze Suidasa (Fragmenta historica graeca t. IV, 348, 2) dowiadujemy się, że tyran efezki Pytagoras za to, że zbezcześcił asylum świątyni mordami swych przeciwników, z rozkazu wyroczni delfijskiej jako ekspiacyę zbudował pierwszą świątynię jońską. Budowa tej świątyni ciągnęła się sto kilkadziesiąt lat, skończono ją dopiero w czasach Eurypidesa. Tę świątynię podpalił Herostratus w r. urodzenia Aleksandra W. 356 r. Drugą świątynię stawiał sam architekt grecki Dejnokrates Byłto według opisów starożytnych olbrzymi dypteros w stylu jońskim, czyli, że celę okalał dookoła podwójny rząd kolumn jońskich. Pliniusz taki daje opis tej świątyni (XXXVI, 95). Prawdziwym cudem sztuki greckiej jest świątynia Dyany efezkiej, przy której budowie pracowano 120 lat. Wzniesiono ją na gruncie bagnistym, a to w tym celu, aby nie ucierpiała wskutek wstrząśnień ziemi. Aby jednak znowu ciężkie fundamenta nie ugrzązły w tak nietrwałym gruncie, podłożono pod nie zbitą warstwę węgli a potem grubą warstwę wełny. Długość świątyni wynosi 425 stóp a szerokość 225. Świątynię zdobi 127 kolumn, z których każda ma 60 stóp wysokości. Z pośród nich 36 było ozdobionych pięknemi płaskorzeźbami, a jedna była dziełem Skopasa. Druga świątynia niemniej była wspaniałą niż pierwsza. Cała Azya liczne zniosła ofiary na jej budowę. Nowsze wykopaliska, jakie na miejscu w ostatnich czasach podjęła Anglia wykazują, że w starożytności jeszcze dwie inne świątynie poprzedziły spaloną przez Herostrata.

Aż do dziś dnia nie wyjaśnioną jest kwestya pochodzenia kultu Artemidy. Starożytne legendy greckie podają, że pierwsza świątynia została wzniesioną przez amazonki. Wspominałem już, że Artemis niczem nie przypomina greckiej Dyany, owszem nosi na sobie wybitne cechy semickie; być może, że jest to fenicka Astarte, przeszczepiona na grunt

azyatyacki przez Karów. Wskazuje także wiele analogii z boginią Ma, czczonej w Komana w Kapadocyi (cf. Strabo XII 2 pag 535 ed. Kramera, Berlin 1847) a może być, że sami Fenicyanie przeszczepili ten kult Astarte do Azyi. Bardzo prawdopobnem jest, że nazwa Efez stoi w związku z semickiem „efes", analogiczne do asyryjskiego Apsu, co oznaczało Ocean ziemski. Byłoby to zatem reminiscencyą podania przechowanego u Pausaniasza, że Efez był synem rzeki. Dzieje Ap. wspominają, że czczono w tej świątyni obraz, który spadł z nieba. Istotnie taką też nazwę nosiła w starożytności. Według Pliniusza figura była z hebanu, to też przedstawiano na kopiach ręce i twarz czarne. Bogini nosi na głowie koronę w kształcie fortecy, a otacza głowę tarcza księżycowa. Cała postać jest przedstawiona sztywnie a na ubraniu rzeźbione wyobrażenia skrzydlatych wołów i baranów. Na ramionach wspinają się lwy. Zatem wszystko to są motywy zaczerpnięte ze świata semickiego. A także liczne piersi przedstawiają ją jako boginię rodzącej przyrody. Jaki wpływ miało opowiadanie św. Pawła na kult Dyany efezkiej, wspominaliśmy wyżej.

Efez był bezsprzecznie jednym z pierwszych miast Azyi. Wprawdzie nie wielką należy kłaść wagę na szumny tytuł jaki sobie daje, bo podobne tytuły nosiły także Milet, Pergamon. Wogóle Azyaci odznaczali się niezmierną próżnością, gonieniem za tytułami, których im nie szczędzili Rzymianie. Azya była perłą państwa rzymskiego. Była ona niewyczerpanym szpichrzem zbożowym dla Grecyi i Rzymu. Olbrzymie sumy płynęły stąd do skarbu państwowego. Uprawa roli stała tu u szczytu swego rozwoju; wywożono stąd wspaniałe wina, hodowano dużo drzew drogocennych. Grecy słusznie mniemali, że na Jonię zlały się wszelkie błogosławieństwa Boże. Ślicznie opisuje nam tę prowincyę Mommsen w V. Tom. swej historyi. Prowincya ta liczyła 500 bogatych gmin miejskich. Odznaczała się wspaniałym klimatem, uroczemi okolicami, położeniem w centrum państwa, przyczem dokoła niej grupują się ludy o wysokiej cywilizacyi. Panuje tu wzo-

rowy porządek a łagodność charakteru mieszkańców sprawia, że wystarczy 5 kohort, aby cały ten wielki kraj utrzymać w pokoju. Oprócz 12 miast nadbrzeżnych mamy w środku kraju cały szereg potężnych gmin miejskich. Wśród nich wyszczególniają się miasta znane z Apokalipsy Sardes, Tyatyra Philadelphia Pergamon, Tralles, nadto Appameja, Hierapolis. O jednem z tych miast zresztą mało znanych Cybira mówi Strabo, że samo jedno mogło wystawić 30 tys. piechoty i 2 tys. jazdy. Piękną charakterystykę Efezu daje nam Otto Bendorf: str. 92 i następne. Właściwy rozkwit Efezu datuje się od czasów zaprowadzenia principatu w Rzymie. Azya należała do najcenniejszych klejnotów państwa rzymskiego. Prowincya nie wielka rozmiarami liczyła jednak 500 ludnych i bardzo bogatych miast. Cała troskliwość cezarów zwracała się do tej prowincyi, która nawzajem odpłacała się Rzymowi wdzięcznością i przywiązaniem. Zadziwia historyków z jaką uprzejmością traktowali władcy rzymscy najrozmaitsze zachcianki Azyatów, którzy z każdą nawet drobną sprzeczką udawali się przed forum cesarza rzymskiego i zawsze tam znajdowali sprawiedliwość. Ilekroć trzęsienia ziemi w I. stuleciu naszej ery nawiedzały tę prowincyę, spieszyli cezarowie z hojną pomocą pieniężną. Jeszcze po dziś dzień podróżny, zwiedzający ruiny starożytnych miast azyatyckich uderzony jest pięknością i wspaniałością budowli publicznych. Ludność zamieszkująca Azyę odznaczała się nadzwyczaj łagodnem usposobieniem. Jeżeli tylko liczono się z jej próżnością narodową, jeżeli dogadzano w gonieniu za tytułami, umiano im schlebiać, to łatwo było utrzymać ją w spokoju. Rzeczywiście zadziwiającem jest, że prowincye tej wielkości jak Italia rządzono bez pomocy wojska, a cały porządek publiczny utrzymywała policya gminna, których naczelników wybierał gubernator przez gminę zaproponowanych. O buntach niewolników nie mamy śladu. Niewolnicy doznawali tu w Azyi stosunkowo łagodnego obejścia się. Zdaje się, że między niewolnikiem a panem istniały dosyć patryarchalne stosunki. Cenne uwagi w tym względzie pozostawił nam św. Paweł

w dwóch listach do Kolosensów i Efezyjczyków, gdzie tylko w ogólny sposób zaleca panom miłość i sprawiedliwość wobec niewolników a tych ostatnich upomina, aby byli posłuszni swoim panom według ciała, usługując im nie dla oka, aby się ludziom przypodobać, ale w prostocie serca z bojaźnią Bożą. Nic też dziwnego, że chrześcijaństwo właśnie tutaj natrafiło na grunt nadzwyczaj podatny. Czyż nie tutaj rozwinął Kościół zaraz w zaraniu swego istnienia wszystkie owoce swej macierzyńskiej działalności. Cudowne ustępy o jedności Kościoła bożego rozrzucone po listach św. Pawła do Efezyjczyków, Kolosensów i Timoteusza świadczą, jak prędko ludność tutejsza przejęła się zasadami wiary św. Św. Paweł może bez najmniejszej obawy wygłaszać im najgłębsze tajemnice łączności mistycznej, jaka istnieje w Kościele między Chrystusem a wiernymi. Stosunki azyatyckie bardzo pięknie odbijają się w przepięknym liście do Filemona. Znajdujemy tutaj typowy przykład stosunku istniejącego między panem a jego niewolnikiem. Wprawdzie Filemon nie mieszka w Efezie lecz w Kolosach, ale list ten odzwierciedla nam stosunki, jakie w Metropolii azyatyckiej istniały. Tutaj pokazuje się, jak wyrobienie kulturalne narodów azyatyckich ułatwiało pracę apostolską. Często spotykamy się jeszcze dzisiaj z zarzutem, czemu św. Paweł nie występuje zasadniczo przeciwko kwestyi niewolnictwa, o którem tyle razy wspomina w swoich listach, a zwłaszcza tych, które odnoszą się do Azyi. Otóż właśnie list do Filemona, choć nie rozwiązuje tej kwestyi tak, jak ją rozwiązał w późniejszych wiekach Kościół, jednakże z góry przygotowuje społeczeństwo do złagodzenia losu niewolników. Niewolnik chrześcijański, to brat w Chrystusie. Onezymus, który uciekł od swego pana Filemona, wyrządzając mu jeszcze przytem krzywdę, przypadkowo dostał się do św. Pawła bawiącego w Rzymie. Tutaj pod wpływem nauk przyjmuje wiarę chrześc. i z powodu zalet charakteru zyskuje sobie serce apostoła tak, że ten zamierzał go nawet uczynić współpracownikiem misyjnym. Ale św. Paweł nie chce być gwałtownym burzycielem publicznego porządku,

szanuje prawa Filemona, którego własnością był Onezymus, i chociaż jako ojciec duchowny Filemona mógł słusznie zażądać darowania sobie Onezyma, którego zrodził dla Chrystusa w swoich węzach, jednakże nie chce naruszać uświęconych praw i stosunków. Przeto odsyła Filemonowi Onezyma z powrotem, upraszając go, by go przyjął nie jako sługę, ale jako ukochanego brata. List ten króciutki bardzo, jednakże już zawiera wszystkie zasady, na podstawie których chrześcijaństwo w późniejszych czasach rozwiąże kwestyę niewolnictwa. W Chrystusie Jezusie są wszyscy równi. Wszyscy są braćmi, jest zatem anomalią, aby niewolnictwo wobec zasad Chrystusowych mogło się jeszcze ostać.

21. Z działalności św. Pawła w Efezie.

Działalność św. Pawła w Efezie, oprócz rozruchów wszczętych przez Demetryusza, zdaje się nie napotykała na większe trudności. Owszem św. Paweł potrafił sobie nawet pozyskać przyjaciół z pośród Azyarchów, którzy w czasie burzy wywołanej przez Demetryusza nieśli mu skuteczną pomoc. Wiele czyniono zarzutów św. Łukaszowi z powodu rzekomej nieznajomości stosunków lokalnych. Długi czas panowało przekonanie, że Asiarches to tytuł, jaki przysługiwał każdorazowemu arcykapłanowi świątyni Romy i Augusta. Arcykapłan był tylko jeden i sprawował urząd przez 1 rok. Zadziwiało zatem, że św. Łukasz wylicza kilku Azyarchów. Otóż liczne inskrypcye znalezione na wschodzie wykazują, że Azyarchowie, to delegaci na sejm efezki, który się zajmował kultem cesarskim. Widocznie ludność efezka była bardzo tolerancyjną wobec chrześcijan, skoro nawet gorliwi czciciele cezarów nie przeszkadzali szerzeniu się religii, występującej przeciwko czci boskiej, jaką oddawano cezarom. Dopiero później w czasach św. Jana wskutek prześladowań Domicyana, zaczęto wrogo występować wobec chrześcijan w Azyi. Widocznie jeszcze w czasach św. Pawła cieszyli się chrześcijanie przywilejami, jakie w tym względzie mieli żydzi. Philo wyraźnie wspomina, że cesarz Augustus nie domagał

się od żydów czci boskiej (cf. Legatio ad Cajum § 23 ed. Mangold 589). Także za Tyberyusza, nawet Sejan zacięty wróg żydów, nie odważał się zmuszać ich do bałwochwalstwa. Dopiero pierwszy Kaligula chciał na nich wymusić cześć boską dla siebie, ale bez powodzenia. A następca Kaliguli Klaudyusz w publicznym dekrecie tolerancyjnym, zapewnił żydom nienaruszalność ich narodowych religijnych zwyczajów. Żydzi za to modlili się tylko do Boga w synagogach za cesarza, a to samo czynili chrześcijanie. Właśnie między wskazówkami, jakie daje św. Paweł Tymoteuszowi, sprawującemu urząd biskupa w Efezie, mamy rozkaz modlitwy za królów. Proszę tedy najpierwej, aby były czynione prośby, modlitwy, przyczyniania, dziękowania za wszystkich ludzi i za króle, i wszystkich, którzy są na wyższem miejscu i abyśmy cichy i spokojny żywot wiedli we wszelakiej pobożności i czystości. (I Tim. II., 1—3).

Przy rozruchach wywołanych przez Demetryusza chodziło li tylko o kwestyę ekonomiczną, i nawet nie znajdujemy jakiegokokolwiek śladu nienawiści przeciwko chrześcijanom. Wogóle z Pisma św. Nowego Testamentu odnosimy to wrażenie, że chrześcijaństwo przez całe pierwsze pokolenie swego istnienia nie doznawało żadnych trudności ze strony cesarstwa rzymskiego. Św. Łukasz dedykujący swoje Dzieje Ap. znakomitemu rzymianinowi Teofilowi, ze szczególniejszym naciskiem podkreśla te fakta, w których się ujawnia sympatya władz rzymskich wobec ruchu wszczętego przez św. Pawła. I tak widzimy, że w Philippi ratuje apostoła narodów z więzienia jego godność obywatela rzymskiego. (cf. Act. 16, 37—39). Podobnież także w Jerozolimie wyrywa go Lyzyasz z rąk rozwścieczonego tłumu, i odsyła go pod silną eskortą do Cezaryi, gdzie wprawdzie przesiaduje 2 lata w więzieniu śledczem, lecz powodem była tylko nienawiść żydów a nie nieprzychylne usposobienie prokuratorów Feliksa i Festusa (cf. Act. 21, 33). Znanym jest także fakt, który zdarzył się w Koryncie, gdzie znowuż prokonsul Achai Gallio uwalnia św. Pawła od zarzutów oskarżycieli żydow-

skich (Act. 18, 12—16). Szczególniej pięknym jest opis św. Łukasza w r. XXVII Dz. Ap.: Św. Paweł jako więzień eskortowany jest do Rzymu, gdzie miał być sądzony przed trybunałem cesarskim, do którego apelował. Widzimy stamtąd, że urzędnicy traktują swego więźnia z wielkim szacunkiem. W wszystkich ważniejszych sprawach słuchają głosu św. Pawła. Także w Rzymie doznaje wszędzie Apostoł nasz wielkiej uprzejmości ze strony władz. Nie tylko podczas custodia libera trwającej 2 lata, może swobodnie przyjmować u siebie wszystkich pragnących słuchać jego nauki, ale nawet później, kiedy już go przeprowadzono do pretoryum w czasie samego procesu i tam z całą swobodą może rozszerzać ewangelię. Kiedy bowiem chrześcijanie we Philippi, tak gorąco przywiązani do swego ojca, dowiedzieli się, że toczy się ostateczna rozprawa św. Pawła wobec trybunału krwiożerczego Nerona, przelękli się o los gmin chrześcijańskich, których założyciel miał być sądzony[1]).

Św. Paweł może im dać taką pocieszającą odpowiedź: „A chcę bracia, abyście wiedzieli, iż to, co się ze mną dzieje, więcej się obróciło ku pomnożeniu ewangelii. Tak, iż też okowy moje w Chrystusie znaczne się stały po wszystkim pałacu i u wszystkich inszych. Iż też wiele ich z braci w Panie, potuchę wziąwszy z oków moich, obficiej śmieli bez bojaźni słowo Boże opowiadać. Niektórzy i dla zazdrości i sporu, a niektórzy też z dobrej woli Chrystusa opowiadają. Inni zaś z miłości, wiedząc, iżem jest postawion ku obronie ewangelii. A drudzy też ze sporu Chrystusa opowiadają nieszczeerze, mniemając, iż przydawają ucisku związkom moim. Bo cóż? by jedno wszelkim sposobem, choć pod pokrywką, choć prawdziwie Chrystus był opowiadan i w tem się weselę, ale i weselić będę“. (Philip. I, 12—20). Pociesza tedy chrześcijan we Philippi św. Paweł, że owszem nie tylko nie ucier-

[1]) Słuszna była ich obawa; bo jak nam referuje Tacyt, Nero wydawał wyroki bezwzględne. Zazwyczaj adwokaci cesarscy przedstawiali w krótkich referatach sprawę cesarzowi, pod którymi on pisał wyrok według swego widzimisię i chwilowego usposobienia.

piało dzieło Boże na jego uwięzieniu, ale doczekało się jeszcze znaczniejszego wzrostu. Doznał bowiem największej życzliwości ze strony władz pretoryańskich, a nawet zdołał pozyskać w okowach swoich dla Chrystusa niektórych dworzan cesarskich[1]).

To powodzenie św. Pawła w więzieniu tyle dodało otuchy chrześcijanom, że z tem większą gorliwością zaczęli rozgłaszać jego ewangelię. Nawet znalazło się wielu takich, którzy nie tyle z miłości ku osobie pociągnieni, jak dla różnych względów doczesnych. Jeżeli tak obszernie rozpisujemy się o stosunku władz rzymskich działalności św. Pawła, czynimy to dlatego, aby pokazać, czemu także przedstawiciele prowincyi azyatyckich w Efezie przyjaźnią darzą Apostoła narodów. Miało to niezmiernie wielki wpływ na rozwój chrześcijaństwa, gdyż przychylność władz rzymskich również życzliwie usposabiała i ludność wobec chrześcijan. O Efezie w szczególności powiedzieć jeszcze możemy, że nawet kilkanaście lat później, gdy kościołem rządził Tymoteusz, to usposobienie w dalszym trwa ciągu, gdyż w listach pasterskich nie zdaje się mieć Tymoteusz ze strony ludności żadnych przeszkód, o czemby św. Paweł z pewnością był wspomniał w listach do niego, skoro nawet o tak małych dolegliwościach jak o bólu żołądka pamięta.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Wilhelm Michalski.

[1]) cf. Philip. IV, 22: Pozdrawiają was wszyscy święci, a zwłaszcza którzy są z cesarskiego domu.

KRONIKA.

W sprawie misyi perskiej. — Prośba, zamieszczona na tem miejscu w poprzednim kwartale w imieniu misyi perskiej, nie pozostała bez skutku. Z drobnych ofiar zapalnych serc zebrała się szczupła wprawdzie suma 100 K, ale jest nadzieja, że będzie to ziarno gorczyczne, z którego z czasem wyrośnie potężniejsze wsparcie na budowę kościoła pod wezwaniem N. M. P. w Tebriz, dla którego gorliwie także zbierała składki ś. p. S. Siwicka, a w którym i nasi rodacy, służący w wojsku rosyjskiem, mają kiedyś wychwalać Boga-Rodzicę. Na prośby też rodaczki naszej, S. Józefy Słomkowskiej, wysłano na jej ręce dla tych żołnierzy pewną ilość książek modlitewnych i do pobożnego czytania, aby zaspokoić ich głód duchowny na obczyźnie.

Węgry. — *Misya w Militicz.* Ks. Floryan Riegler pisze do ks. Wizytatora Binnera pod datą 12 listopada 1909 r., co następuje:

„W sobotę, dnia 30 października 1909 r. wśród bicia dzwonów przyjechałem wraz z dwoma konfratrami do Militicz, wioski liczącej 4.000 mieszkańców, a leżącej blisko granicy Slawonii w dyecezyi Kalocsa, niedaleko ujścia Drawy do Dunaju. Niemcy tamtejsi pochodzą przeważnie z Czarnego Lasu i mówią językiem ojczystym, pomimo, że w szkołach uczą się dzieci, z wyjątkiem religii, jedynie po węgiersku. Nie biorąc w rachubę 80 schizmatyckich Serbów i 20 Żydów, wszyscy są katolikami. Proboszcz i wikary przygotowali ich dobrze na misyę.

Już sama uroczystość wstępna przy licznym napływie wiernych do obszernej świątyni napełniła nas otuchą, że Bóg pobłogosławi pracy naszej. Początkowo zamierzaliśmy głosić trzy kazania dziennie, ale wnet musieliśmy się dwoma zadowolić, byle tylko zyskać więcej czasu na spowiadanie. Pracę tę ułatwił podział ludu na stany. Jedynie w ten sposób zdołaliśmy zadośćuczynić gorliwości wiernych, którzy czekali cierpliwie od godziny 5 rano do samego południa, aż na nich kolej przyszła. Od godziny 2 aż do nauki wieczornej byliśmy znowu zajęci w konfesyonale. Liczba wszystkich spowiedzi doszła do 2.000. Przysporzyły nam one wiele i bardzo żmudnej pracy, ale i pociechy niemało, gdyż odkąd parafia istnieje, nie było w niej jeszcze misyi, i lud sam prosił o spowiedź generalną, a przecież my na to jesteśmy. Jeżeliśmy nie potrzebowali prosić mieszkańców parafii Militicz, by szli do spowiedzi, to tem mniej, żeby się gromadzili u stóp kazalnicy. Było w tem coś podniosłego, zwłaszcza wieczorem, kiedy olbrzymi kościół napełniał się po brzegi uważnymi słuchaczami, którzy tłumili dech w piersi i słowa z ust naszych pili z takiem upragnieniem jak kwiaty rosę wieczorną. Nietylko prawowierni, ale i schizmatycy, a nawet i żydzi przychodzili nas słuchać; Bóg zdarzył, że omawiano właśnie wtedy najważniejsze prawdy, jak n. p. wartość duszy, żal, miłość nieprzyjaciół i tym podobne. Łzy nam się cisnęły do oczu, gdyśmy widzieli, jak po nauce wracały te rzesze do domów swoich z wielką powagą, w głębokiem skupieniu, z postanowieniem poprawy w sercu, a płonącemi pochodniami w ręku.

Łagodni jak dzieci, robili ci ludzie wszystko, czego od nich zażądano. Posłuszeństwo nieledwie zakonne jest u nich w zwyczaju, bo kiedy przed 10 laty tamtejszy ks. dziekan witał ich po raz pierwszy, to niczego nie żądał, tylko uległości. To też i nam ją na misyi okazywali. Prosiliśmy n. p. rodziców, żeby na czas nauki dla małżonków zostawili swe dzieci w domu. Jakżeśmy się zdumieli, kiedy na wspomnianem kazaniu nie ujrzeliśmy ani jednego dziecka. Nawet ministran-

tów nie było Dopiéro kilku chłopców z sąsiedniej parafii wybawiło nas z kłopotu, podejmując się zaszczytnego urzędu przy nabożeńswie.

Jedno nas jednak bolało. Zauważyliśmy w pierwszej połowie tygodnia, że znakomitsi parafianie trzymają się zdala od ambony i konfesyonału. Przyczynę tego wyjaśnił nam ks. dziekan. Nie zapowiedzieliśmy mianowicie osobnych nauk dla panów, a to z tej prostej przyczyny, że niema tam prawie sług, gdyż liczne dzieci spełniają wszelkie domowe obowiązki; a więc nam się zdawało, że i panów w właściwem tego słowa znaczeniu czyli chlebodawców niema w parafii. Inteligencya węgierska, która ma się rozumieć nie może ścierpieć niemieckiego języka, czuła się tem bardzo dotkniętą, a nawet zupełnie wykluczoną od misyi dlatego, że nawet dla dzieci były osobne przemówienia, a dla nich nic. Bogu dzięki, że przynajmniej pewna część Węgrów przystąpiła do śś. Sakramentów.

Ogółem atoli misya w Militicz powiodła się bardzo dobrze. Cieszymy się nadzieją, że rzeczywiście zaszła tam istotna zmiana na dobre, jak nas o tem zapewniał w imieniu wszystkich zacny sędzia miejscowy.

Sądzę, że tak wielkie błogosławieństwo Boże na naszą pracę ściągnęło to, iż staraliśmy się zachować ile możności jak najwierniej Reguły i stosować się do zwyczajów oraz przepisów Dyrektoryum misyj.

Z PROWINCYI POLSKICH.

Kraków. — *Jubileusz Towarzystwa Pań Miłosierdzia.* — Kilka miesięcy zaledwie temu święcił Dom Centralny SS. Miłosierdzia pięćdziesiątą rocznicę swego założenia, o czem w swoim czasie pisały dwukrotnie *Roczniki*. Obecnie zanotować możemy złote gody założonego również przez św. Wincentego a Paulo Towarzystwa Pań Miłosierdzia, obchodzone dnia 5 kwietnia b. r. na Kleparzu. Dla upamiętnienia tego obchodu, zamieszczamy tutaj krótki zarys działalności Towarzystwa, wydany osobno jako „Pamiątka jubileuszu To-

warzystwa Pań Miłosierdzia w Krakowie", a uzupełniony opisem samej uroczystości w *Miłosierdziu Chrześcijańskiem.*

Towarzystwo Pań Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo założyła w Krakowie w roku 1855 Kasztelanowa Wężykowa. Zorganizowano je wszakże dopiero w roku 1860, gdy zostało agregowane do głównego Towarzystwa Pań Miłosierdzia w Paryżu. Przyczyniła się do tego głównie Matka Talbot, ówczesna wizytatorka SS. Miłosierdzia, i odtąd działalność Pań Miłosierdzia złączyła się ściśle z działalnością Sióstr, a Dom Centralny na Kleparzu pozostał na zawsze głównym punktem ich zebrań. Odtąd też rozpoczęło się odwiedzanie ubogich chorych przez Panie i Siostry, rozdawanie wsparcia w naturze i opatrywanie ich w małem ambulatoryum, umyślnie na to przy Domu Centralnym urządzonem. W roku 1860 Kasztelanowa z powodu słabości zdrowia zrzekła się przewodnictwa, a na jej miejsce została wybrana hr. Zofia Wodzicka. Pierwszym Dyrektorem był ks. prałat Ożarowski, Misyonarz, a głównym opiekunem Towarzystwa ks. Biskup Łętowski.

W roku 1860 założono również Towarzystwo Panien Ekonomek, a prezydentką ich była hrabianka Celina Wodzicka. W sprawozdaniach rocznych widzi się z pociechą zwiększającą się co roku liczbę Pań i Panien, coraz to znaczniejsze dochody, coraz to więcej rodzin wspieranych. Ciężkie lata 1863—1864, lata klęsk i zaburzeń politycznych, dają się odczuwać w sprawozdaniach. Rok 1865 niema nawet drukowanego wykazu, tylko pisany wykaz rocznych dochodów i wydatków przez ś. p. Matkę Talbot zrobiony. W tym samym czasie hr. Zofię Wodzicką uwięziono w więzieniu św. Michała w Krakowie, gdyż posądzono ją o uczestnictwo w akcyi powstańczej, Matkę Talbot uwięziono także, ale po całodziennem przesłuchiwaniu wypuszczono ją na wolność. Dyrektorem Stowarzyszenia został ks. wizytator Oudiette, który gorliwie wspierał zapał Prezesowej, zachęcając Panie nietylko na sesyach, ale i przez kazania, jakie dla nich miewał w kościele księży Pijarów, gdzie się licznie zgromadzały z powodu

braku miejsca w ówczesnej małej kapliczce Sióstr na Kleparzu.

Statuta Stowarzyszenia zatwierdziła władza dyecezyalna reskryptem z dnia 25 stycznia 1866 r., a komisya Namiestnictwa dnia 21 stycznia tegoż roku; zatwierdzono również i ambulatoryum, gdzie dwie Siostry do tego użyte udzieliły w pierwszym roku 6.755 opatrunków. Przy braku klinik, bywały lata, gdzie przeszło 11.000 ubogich chorych zgłaszało się do sali opatrunkowej, a koszta tychże ponosiły Panie Miłosierdzia. Z wdzięcznością wspomnieć należy o ś. p. Drze Bobrzyńskim, prymaryuszu szpitala św. Łazarza, który Siostrom opatrującym chorych udzielał rad swoich i wydawał darmo recepty. Towarzystwo Pań w tych latach, jako jedyne prawie towarzystwo dobroczynne w Krakowie, cieszyło się wielkiem uznaniem i sympatyą. W sprawozdaniach z roku 1867 i 1870 jest wzmianka o czterech lekarzach, którzy ofiarowali się z bezpłatną pomocą dla ubogich i o czterech aptekach, dających darmo pewną ilość lekarstw.

W tych latach zaprowadzono katechizm dla zaniedbanych chłopców na Kleparzu u ks. ks. Misyonarzy, gdzie uczęszczało przeszło 300 dzieci i przygotowywało się do I. Komunii św., a drugie tyle dziewcząt pobierało tę naukę u Sióstr w Domu Centralnym, a następnie w szkole św. Stanisława Kostki. Dzieło to trwa do tego czasu.

W roku 1866 zaprowadzono w Wielkim tygodniu rekolekcye dla ubogich w kościele św. Floryana, następnie przeniesione do ks. ks. Misyonarzy. Wspominają o nich często sprawozdania; po 600 ubogich przystępowało do Stołu Pańskiego. Panie troszczyły się bardzo o tę swoją trzódkę wybraną, kwestowały osobno na ich wyżywienie, a Panny Ekonomki przez długie lata dostarczały bielizny dla najuboższych i obsługiwały ich przy obiedzie, po wspólnej Komunii św. Sprawozdanie z roku 1866 wspomina też o odprawiającej się co środę Mszy św. za dusze ubogich zmarłych, staraniem Pań Miłosierdzia, w kościele N. P. Maryi. Zapisywały też Panie swoich zmarłych ubogich do bractwa Trójcy św.,

zapewniając im przez to udział w codziennych Mszach św. Ponieważ w rachunkach rocznych niema wspomnienia o tym wydatku, zapewne brano na to z jałmużn prywatnych gorliwych Pań.

W roku 1866 wspomina sprawozdanie o założeniu szpitala cholerycznego w Domu Centralnym Sióstr Miłosierdzia, skutkiem czego sesye na jakiś czas przerwano. Z końcem tego roku rozpoczęły się na nowo pod przewodnictwem nowo przybyłego Dyrektora Stowarzyszenia ks. Soubieille. Lata upływały, przynosząc coraz to znaczniejsze dochody i większe dowody gorliwości zacnych Pań. Gdy w pierwszym roku widzimy zaledwie 800 złr. dochodu, po dziesięciu latach dochodzą już do 5.000 złr., a liczba rodzin do 400 rocznie.

W roku 1875 odbył się sławny akt poświęcenia miasta Najśw. Sercu Jezusowemu na rynku krakowskim, uroczystość zorganizowana przez Panie Miłosierdzia i Matkę Talbot. Brały one udział w ogromnej procesyi, wychodzącej z Domu Centralnego, niosąc swoją chorągiew przysłaną im z Paryża, a wyszytą złotem przez tamtejsze Panie Miłosierdzia. Niosła ją hr. Celina Wodzicka i pomimo niesłychanego natłoku i umęczenia nie chciała nikomu ustąpić tego zaszczytu.

Rok 1877 i 1878 odznaczał się szczególną gorliwością Pań. Pan Bóg błogosławił widocznie ich starania, zwłaszcza w duchownych korzyściach; siedm osób dorosłych różnych wyznań przeszło na łono katolickiego Kościoła, dwa chrzty osób dorosłych i 103 małżeństw uprawnionych. W r. 1879 główne zebrania Pań zaczęły się odbywać pod przewodnictwem Biskupów krakowskich. Również w roku 1879 księżna Marcelina Czartoryska przyczyniła się bardzo do założenia Domu Sióstr na Kazimierzu, gdzie też przeznaczono osobną Siostrę do opatrywania i odwiedzania ubogich chorych; tam też przeniesiono rekolekcye dla ubogich.

W roku 1880 umarła hr. Konstancya Stadnicka długoletnia sekretarka Towarzystwa, czyniąc zapis 500 złr. w połowie dla Pań i Panów Towarzystwa św. Wincentego, co dla wdzięcznej pamięci tutaj zapisujemy.

W roku 1881 Matka Talbot opuściła Kraków, a na jej miejsce przybyła Matka Karolina Juhel, która przez 24 lat oddana całem sercem Towarzystwu Pań, dopomagała wszelkiemi siłami zacnym Paniom we wszystkich ich dobrych dziełach.

W roku 1886 w styczniu obchodzono 25-letni jubileusz przewodnictwa hr. Zofii Wodzickiej. Wobec licznie zebranych Pań, w pięknie przybranej sali, Dyrektor Stowarzyszenia odczytał sprawozdanie z 25 lat, przez który to przeciąg czasu ubodzy mieli utrzymanie za jej przedewszystkiem zabiegami i dziękował w ich imieniu Czcig. Prezesowej, która z rozrzewnieniem dziękowała również Paniom, ś. p. Ojcu Dyrektorowi Soubieille i Matce Juhel za wytrwałą pomoc w pięknem dziele i na zakończenie prosiła pokornie ks. Dyrektora o błogosławieństwo.

W pięć lat mniej więcej potem, bo 1 października 1890 umarła przezacna Prezesowa. „28 lat — pisze sprawozdanie — pozostawała na czele Towarzystwa, a przez ten długi czas miłość jej dla ubogich nie ostygła ani na chwilę. Rozumnym, szczęśliwym przemysłem umiała nie tylko utrzymać w dobrym stanie, ale i powiększyć dochody dzieła. Nie poprzestając na zachęcaniu drugich słowami i dziwnym wdziękiem i uprzejmością, przykładem też pobudzała do poświęcenia. Póki tylko siły starczyły, odwiedzała chorych osobiście, a ręce jej aż do ostatniej chwili nie przestały pracować dla nich. Przybory kościelne, artystycznie przez nią wyrabiane, przynosiły podwójną korzyść: przyczyniały się bowiem do chwały Bożej, a dla dzieła były wielką pomocą materyalną. Żałość powszechna, którą śmierć jej wywołała, oznaki szacunku oddawane jej pamięci, dowodzą jasno do jakiego stopnia poważaną była hr. Zofia Wodzicka, tak w gronie Pań Miłosierdzia jako i u całej publiczności“. Hr. Wodzicka pozostawiła zapis 4.000 złr. dla Towarzystwa Pań Miłosierdzia, a 2.000 złr. na zakład wychowawczy sierót.

Po śmierci nieodżałowanej Prezesowej, Panie pozostawały pod przewodnictwem wiceprezesowej hr. Sabiny Mor-

stinowej, która z największą gorliwością zajmowała się nadal dziełem miłosierdzia. Niedługo niestety, gdyż już 7 czerwca 1891 przeniosła się również do wieczności, pozostawiając po sobie piękne wspomnienie gorliwości, miłości względem ubogich i pobożności.

W roku 1891 w listopadzie została obraną prezesową księżna Marcelina Czartoryska i prowadziła to dzieło z poświęceniem aż do 1894 r., w którym niespodziewana śmierć zabrała znowu Paniom ich Prezesową, pełną niezrównanych cnót i zalet, a całkiem oddaną ubogim. Szczególnie zaś Domowi Pracy na Kazimierzu zabrakło jej bardzo. Widziano ją nieraz w skromnem ubraniu, idącą za najuboższym pogrzebem, to znów pokornie pochyloną przed ubogą staruszką, zawiązującą jej obuwie na ulicy, jużto spieszącą wśród zimowego wieczoru i roznoszącą osobiście wilię dla swoich ubogich! Cześć jej pamięci!

W tym samym roku nastąpiła też śmierć JE. Kardynała Dunajewskiego, wielkiego protektora dzieł św. Wincentego.

Aż do nowego wyboru prezesowej zastępowała ją długoletnia sekretarka Towarzystwa hr. Anna Platerowa. Dopiero w listopadzie 1895 r. wybrano hr. Cecylię Badeniową na prezesową, a sekretarką została p. Stefanowa Michałowska, która ożywiona wielką miłością dla Towarzystwa sprawowała gorliwie swój urząd przez lat dziesięć.

Za prezesostwa p. Badeniowej Pan Bóg pobłogosławił Towarzystwu, dając mu hojny zapis największego dobrodzieja ś. p. Wacława Mańkowskiego, który w r. 1897 złożył fundacyę 25.000 koron dla Towarzystwa Pań Miłosierdzia.

W r. 1897 ks. Soubieille, Dyrektor Towarzystwa przez lat 30, złamany wiekiem i chorobą złożył swój urząd, przeznaczając w swoje miejsce ks. Kajetana Sakowskiego. Ten po trzech latach również dla braku sił ustąpił z dyrektorstwa, które objął ks. Kiedrowski, ówczesny wizytator ks. ks. Misyonarzy.

W roku 1905 Towarzystwo miało wiele trudności do przezwyciężenia, gdyż przy licznym napływie ubogich z Po-

znańskiego i Królestwa, dochody były bardzo uszczuplone i z początkiem maja kasa okazała się wyczerpaną. Wobec spóźnionego czasu nie dało się już nic urządzić; położenie zdawało się bez wyjścia, ale gorliwe panie nie mogły wyjechać spokojnie z miasta bez zabezpieczenia potrzeb ubogich. Z całym zapałem użyły jedynego środka, urządziły kwestę po domach, chodząc same całymi dniami, a uzyskawszy 1651 koron, zapewniły ubogim utrzymanie w czasie letnich miesięcy.

W roku 1905 hr. Cecylia Badeniowa po 10-letniej pracy na czele Towarzystwa, dla którego pomimo tak trudnych czasów i rozlicznych rodzinnych zatrudnień z wielkim wysiłkiem starała się o przysporzenie dochodów, zrzekła się przewodnictwa, a na jej miejsce obraną została księżna Kazimierzowa Lubomirska, na wiceprezesową zaś hr. Mieroszewska. Jednocześnie Panny Ekonomki dokonały szczęśliwego wyboru w osobie panny M. Epstein, a w r. 1906 na czele Towarzystwa jako Dyrektor stanął ks. wizytator Słomiński.

Od czterech lat liczba członków wzrosła, sesye ożywiły się więcej, zwłaszcza po wprowadzeniu w zarządzie pań wydziałowych, ubodzy lepszą mają obsługę, a dochody przewyższają wszystkie inne lata.

Jednocześnie Panny Ekonomki powstają jakby na nowo. Dochody zdwojone, więc też ubodzy dostają obficie odzież, a mając jakby za mało jednego dzieła, przyjmują do grona swego nowe siły i tworzy się w ich dziale nowa sekcya, która odnowiwszy ambulatoryum dla ubogich rannych według nowoczesnych wymagań, zajmuje się tamże pod bezinteresownym kierunkiem Dra Klęska udzielaniem opatrunków chorym ubogim. I oto stoi Towarzystwo odmłodzone i silniejsze jak przed 50 laty. Ma już ono swoje tradycye, piękne wspomnienia, szereg nieprzeliczonych dobrych uczynków; przywykło też patrzeć na cuda Opatrzności Boskiej. Ożywione naukami swoich Dyrektorów i wzniosłemi słowami Dostojników Kościoła zaszczycających ich zebrania, a wzmocnione kilkakrotnie błogosławieństwem Najwyższych Pasterzy Piusa IX. i Leona XIII., patrzy Towarzystwo z nadzieją w przy-

szłość, gotowe do dalszej pracy, do cichej walki z nędzą i do ponoszenia nowych trudów dla cierpiących członków Chrystusa Pana.

Przebieg uroczystości jubileuszowej obejmował najpierw trzydniowe nabożeństwo poprzedzające sam dzień jubileuszu, by Panu Bogu podziękować za wszystko dobro, które Stowarzyszenie przez 50 lat zdziałało. Na samo jubileuszowe posiedzenie dnia 5 kwietnia stawiły się wszystkie Panie Miłosierdzia w liczbie 71, Panny Ekonomki w liczbie 29 i Panny sekcyi Ambulatoryum w liczbie 13. Przewodnictwo objął Najprz. ks. Biskup Nowak; jako delegaci zjawili się członkowie męskich konferencyi św. Wincentego z prezesem p. Konstantym Popielem na czele, p. Schwarz prezes Tow. Dobroczynności i panna Zofia Popielówna, jako delegatka krakowskiego Związku Niewiast Katolickich. Po zwykłej modlitwie zagaił zebranie Dyrektor Stowarzyszenia ks. wizytator Słomiński i przemówił w te słowa:

„Najprzewielebniejszy Księże Biskupie! Łaskawi Goście i Szanowne Panie!

W imieniu całego Stowarzyszenia, to jest Pań Miłosierdzia i Panien Ekonomek, miło mi jest spełnić ten zaszczytny obowiązek powitania na tej uroczystości naszej tak na nas łaskawych Gości. Dziękuję jak najserdeczniej za ten dla nas zaszczytny udział w naszem święcie, przedewszystkiem Waszej Biskupiej Mości, który obecnością swoją podniosłeś jeszcze wyżej serca nasze, a Ofiarą Najświętszą, którą za nas Bogu złożyłeś, pomogłeś nam podziękować Panu za to, że tak wspierał Swą łaską usiłowania Towarzystwa przez te lat 50. Obecność na tej uroczystości Najprzewielebniejszego Księdza Biskupa jest nam tak miłą, bo świadczy, że Towarzystwo nieprzerwanie cieszy się opieką i błogosławieństwem Biskupów tej ukochanej dyecezyi krakowskiej. Obecność tutaj delegacyi Stowarzyszeń dobroczynnych naszego miasta nader mile zapisaną będzie w historyi naszego Towarzystwa, bo świadczy o tem, że Towarzystwo nasze nie przestało się zupełnie cieszyć sympatyą społeczeństwa i że chętnie intere-

sujemy się wzajemnie tem, co działamy pod jakąkolwiek nazwą, byle to było pod hasłem miłości Boga i bliźniego. Ten dowód sympatyi i życzliwości cenimy sobie nader wysoko i prosimy o przyjęcie jak najgorętszej z naszej strony podzięki.

Ponieważ Towarzystwo nasze usiłuje działać wedle św. Wincentego, który przestrzega tak bardzo, aby nie działać z rozgłosem i o czynach swoich nie opowiadać, co zresztą tak naturalne, jeżeli pobudką działania ma być Bóg, mieliśmy pewne wątpliwości co do uroczystości obchodu tego jubileuszu naszego. To jednak, co powiedział kiedyś Rafał do rodziny Tobiasza, utwierdziło nas w zamiarze jubileuszu tego i w myśli aby go obchodzić i wobec gości. Ten wysłannik nieba dał rodzinie Tobiasza taką radę: „Błogosławcie Boga niebieskiego a przed wszystkimi żywiącymi wyznawajcie Mu albowiem tajemnicę królewską taić dobrze jest: ale sprawy Boskie objawiać i wyznawać poczciwa rzecz jest“. O sprawach ludzkich wspominać, choćby to i królewskie były czyny, nie warto, ale to co Bóg zdziałał wyznawać, poczciwa rzecz jest.

W tej myśli w sprawozdaniu naszem jubileuszowem zestawiliśmy rachunki nasze z całego pięćdziesięciolecia. Suma zebranych i rozdanych przez Towarzystwo pieniędzy na rzecz ubogich wynosi 598.342·68 koron, która to suma umożliwiła Towarzystwu opiekę nad 15.488 rodzinami ubogich, rozdanie im bonów w liczbie 845.411 i utrzymania ambulatoryum dla opatrywania ubogich chorych, w którem było opatrunków 324.678. Dla 221 sierót mogło Towarzystwo znaleźć umieszczenie, często pokrywając w części koszt ich utrzymania, a 70 nieuleczalnych umieściło w Zakładzie. To zrobiło Towarzystwo dla ciała cierpiących członków mistycznych Chrystusa Pana. Ponad ten jednak dorobek Towastwa wyżej jeszcze stawiamy dorobek zapisany w innych rubrykach, a mianowicie pomoce, które Towarzystwo niosło duszy ubogiego. Odwiedzin ubogich było 198.610, chrztów 242, wyznania wiary i nawróceń 60, małżeństw uprawnionych 866,

przyjęcia Sakramentów świętych z pobożności wskutek starania Towarzystwa było 7.989 a 2.779 ostatnich Sakramentów św., zmarłych pod opieką Towarzystwa było 1.643. Powtarzam, że wyznajemy iż to łaska Boża zdziałała, ale pragniemy okazać wdzięczność Bogu za to, że do tych dzieł użyła ta łaska jako narzędzie Towarzystwa naszego. Pragniemy również tem oddać cześć wielkości ducha św. Wincentego. Kiedy weźmiemy pod uwagę, że to, co z pomocą Bożą zdziałać zdołało nasze Towarzystwo w Krakowie, jest małą, bo dwusetną cząstką tego, co działa nasze Towarzystwo w całym Kościele św., łatwo zdać sobie sprawę, jaka jest suma dobrego, które to Towarzystwo w całości spełnia. Kiedy zrobimy zestawienie ze sprawozdania ogólnego Towarzystwa Pań Miłosierdzia za rok 1909, otrzymujemy w samych pieniądzach zebranych i wydanych na ubogich w tym roku sumę 1,916.523·11 fr. czyli blizko 2 miliony. Nasz dochód w tym roku jest dwusetną częścią tej sumy, — a przecież ta nasza część mała przez lat 50 do tak pocieszającej cyfry wzrosła. Z tego się okazuje, jak potężnym czynnikiem w miłosierdziu chrześcijańskiem jest nasze Towarzystwo. Można mieć wyobrażenie, ile ono dla ubogich przez 300 lat istnienia swego zdziałało. Jest ono zaś pierwszem dziełem dla ratowania nędzy ludzkiej jakie rozbudził wielki organizator tego miłosierdzia, św. Wincenty. Do zorganizowania opieki nad chorymi i nieszczęśliwymi w ten sposób, t. j. do opieki, któraby ojca lub matki nie zabierała dzieciom, ani też dziatek nie odłączała od serca matki, ale żeby ich ratowała, w gronie rodziny ich zostawiając, odwiedzała tę rodzinę i ratowała, aby w niej ducha chrześcijańskiego budzić, nie miał św. Wincenty przed sobą wzoru żadnego. Jestto organizacya wyłącznie w myśli św. Wincentego poczęta. Założone to Towarzystwo zostało przed blizko trzema wiekami, bo w r. 1617. Wiele rozmaitych towarzystw przez te trzy wieki powstało i dawno już zniknęły — Towarzystwo nasze wieki przetrwało i zawsze się zdaje młode i zawsze równie potrzebne. Dla czego? Bo oparł je św. Wincenty na wierze.

Okiem wiary każe patrzeć na chorego i ubogiego, z wiary siłę każe czerpać do działania i tylko to, co wiara mówi, każe nam mieć na celu, t. j Boga. Gdyby Towarzystwo tak nie działało, nie byłoby Towarzystwem św. Wincentego a Paulo. Ale też dla tego jest ono silne i trwałe; choć się zmieniają czasy, ono się nie zmienia. Nasza św. Wiara ma nadto tę dziwną wszechstronność światła i siły — że ona na wszystkie czasy i na wszystkie okoliczności światłem i siłą być nie przestaje. I oto nowa tajemnica żywotności tego dzieła św. Wincentego. Dla tego ono wieki przeżyło, bo ono zawsze okazuje się potrzebnem, na wszystkich bowiem czasów nędzę ma ono sposób ratunku, na wszelkie rany umie nieść lekarstwo. Stąd ono się przeżyć nie może. Nie może się przeżyć, bo ma na sobie piętno ducha św. Wincentego. A duch św. Wincentego to potęga, przed którą skłaniają czoła wszystkie trzy wieki, sławią go wielcy i garną się do niego maluczcy, Kościół św. aureolę jego chwały zewnętrznej coraz więcej rozjaśnia, nieprzyjaciele nawet wiary za jego nieprzyjaciela uchodzićby nie chcieli. Wiek XVII. chlubi się i szczyci, że jego wydał, wiek XVIII., którego niewiara unosi, śpiewa hymny uwielbienia dla św. Wincentego wyniesionego na ołtarze, wiek XIX. w tryumfie wielkim relikwie jego na ołtarzu stawia, a niezbożność, niechcąc w czci dla niego pozostać w tyle, stawia mu pomnik w Panteonie. Na zaraniu wieku XX. wielki papież robotników i socyalnej bolączki najlepszy znawca ogłasza św. Wincentego patronem wszystkich dzieł miłosierdzia, a Pius X., co za hasło obrał sobie *Omnia instaurare in Christo* postanawia zaraz w pierwszym roku pontyfikatu swego święto (20 grudnia) jego Opieki. We wszystkich czasach wszyscy go wielbią, bo we wszystkich czasach dla wszystkich z jego ducha płynęło lekarstwo i siła. Aby temu wielkiemu patronowi naszemu oddać cześć, wspomnieliśmy o tem, cośmy zdziałać mogli za łaską Bożą i pod tchnieniem ducha św. Wincentego; jakich narzędzi do działania w tym Towarzystwie i do rozbudzania ducha jego użył Bóg.

Ksiądz Biskup Łętowski, żołnierz-kapłan, co tak bardzo polskie, a więc czułe i nad nieszczęściem się rozrzewniające w swej piersi nosił serce, zaszedł raz przed 52 laty w odległe strony Kleparza. Głęboko go wzruszyła nędza i ubóstwo jak i zaniedbane dzieci, jakie zobaczył tu na Kleparzu. Tchnięty łaską Bożą postanowił poświęcić swój majątek i wszelką troskę, aby tę nędzę ratować. Kupił tu w tem miejscu dom i sprowadził doń Siostry Miłosierdzia. Na czele ich przybyła Matka Talbot, wizytatorka, wielkiego umysłu i serca Siostra Miłosierdzia. Poczęli myśleć wspólnie nad ratowaniem nędzy. Zwrócili uwagę na to, że pierwszemi, które św. Wincenty do tego dzieła powołał, a potem Siostrom Miłosierdzia pomagać kazał, były Panie Miłosierdzia.

W Krakowie zgromadziło się w r. 1855 kilka Pań pod przewodnictwem kasztelanowej Wężykowej, ale nie były zorganizowane całkowicie w towarzystwo. Uzupełniły więc swą organizacyę, powołały do życia dział Panien Ekonomek — i oto początek naszego Towarzystwa. Założyciele jego to ksiądz Biskup Łętowski, Matka Talbot i p. kasztelanowa Wężykowa, pierwsza prezesowa, która jednak z powodu słabości zdrowia ustąpiła z prezesostwa, a na jej miejsce została obrana hr. Zofia Wodzicka, która przez lat 28 na jego czele pracowała, a w czasie powstania cierpiała nawet dla tej sprawy, bo była dla niej uwięziona. Towarzystwo odrazu działalność swoją w całej pełni rozwinęło, jak o tem pięknie świadczy sprawozdanie. Dosyć że powiem, iż w założonem ambulatoryum rozdano zaraz w pierwszym roku 5.022 opatrunków, a dochody Towarzystwa wkrótce doszły cyfry 10.000 koron. Dla sierót i dzieci obojga płci zaprowadzają Panie katechizm u ks. ks. Misyonarzy i SS. Miłosierdzia i uroczystą I. Komunię świętą, rekolekcye coroczne dla ubogich, których bywało po 600, a PP. Ekonomki obdarowują ich bielizną i służą im przy obiedzie. Uprawnionych małżeństw w r. 1877 i 1878 było 103, a praca przy tem była niemała i niemałe poświęcenie, bo było trzeba tych nieszczęśliwych i uczyć religii i do Sakramentów przygotowywać. W roku 1866 grasuje

cholera, nieszczęśliwi chorzy tutaj w Domu Sióstr mają schronienie i ratunek. W roku 1875 odbył się sławny uroczysty akt poświęcenia Krakowa Najsłodsz. Sercu P. J. Zasługa to w większej części Pań Miłosierdzia. Występują one w tej wspaniałej procesyi uroczyście, hrabianka Celina Wodzicka, prezydentka Ekonomek niesie chorągiew, którą Panie Miłosierdzia w Paryżu uszyły i przysłały w upominku swym polskim Towarzyszkom. W r. 1879 powstaje Dom Pracy na Kazimierzu przy pomocy Pań Miłosierdzia — a zwłaszcza księżny Marceliny Czartoryskiej — tamże drugie ambulatoryum. Dziwnie wielka była wtedy troskliwość Pań Miłosierdzia o dusze i zbawienie wieczne ubogich! Co środę ich staraniem odprawia się za zmarłych ubogich Msza św. i zapisują ich do Stowarzyszenia Trójcy św. Wizyt osobistych u chorych zadziwiająco wiele. W tej gorliwości ich była im wielką pomocą sympatya, jaką się cieszyły w społeczeństwie. Dr. Bobrzyński, prymaryusz szpitala, niesie ich ubogim bezpłatną pomoc lekarską, a w latach 1867—70 czterech lekarzy w ten sposób je wspierało, cztery zaś apteki dawały darmo pewną część lekarstw.

W roku 1886 obchodziło Towarzystwo jubileusz 25 lat pracy tak gorliwej i zacnej prezesowej swojej z szczerą serdecznością. Niestety w r. 1890 śmierć zabrała Towarzystwu tak gorliwą prezesową pełną zasług, która zapisem 4.000 złr. pomnożyła fundusze stałe Towarzystwa. Niecały rok na czele Towarzystwa stała wiceprezesowa hr. Sabina Morstinowa, a po jej śmierci została obraną prezesową ks. Marcelina Czartoryska, która niestety krótko, bo tylko 3 lata na czele Towarzystwa stała; zabrała ją zbyt wcześnie śmierć, która ciężką żałobą okryła Towarzystwo. Heroizmem poświęcenia swego dla ubogich i niezrównanemi cnotami, przez ten czas krótki zdziałała ona jako prezesowa tak bardzo wiele. Znać to w cyfrach wszystkich rubryk w sprawozdaniach, ale szczególniej uderza to, że w tych latach gorliwość większa w odwiedzaniu ubogich przez panie osobiście. W roku 1893 było 1187 wizyt samych pań. Drugi cios dla Towarzystwa w r.

1894 — to śmierć nieodżałowanego ś. p. Ks. Kard. Dunajewskiego. Odkąd został następcą św. Stanisława, przewodniczył zawsze rocznym zebraniom Towarzystwa, a jako wielki św. Wincentego czciciel, wspierał jego najstarsze dzieło i rozpalał członków Towarzystwa tak jak on swoim gorącem sercem rozpalać umiał. Przez następne lat 10 na czele Towarzystwa stała hr. Cecylia Badeniowa, która wraz z przezacną, godną sekretarką p. Stefanową Michałowską z wielkiem poświęceniem skutecznie pracowała nad przysporzeniem środków Towarzystwu. Za jej prezesostwa p. Wacław Mańkowski złożył dla Towarzystwa fundacyę 25.000 koron. — Rodzina Mańkowskich, to rodzina wielkich dobrodziejów naszych ubogich — we wdzięcznej ją Towarzystwo ma pamięci. Jako dyrektorzy dzieła zasługują na wzmiankę osobną ks. Oudiette i ks. Soubieille, wizytatorowie księży Misyonarzy, którzy wielką pracą i poświęceniem budzili gorliwość Pań.

Działalność Towarzystwa w ostatnich latach kilkunastu znacznie była utrudniona wskutek tego, że znikła w znacznej części ta sympatya dla niego, jaką się cieszyło dawniej. W czasach, gdzie prawie wszystkim się zdaje, że nowe stosunki i potrzeby domagają się nowych, innych towarzystw, w czasach, gdzie u innych znowu zaczęło się zakorzeniać przekonanie, że aby ludżi nie odstraszyć, nie należy działaniu swemu dawać piętna tak wyraźnie katolickiego, ale się należy akomodować do czasów i pojęć, które świętych w nazwie stowarzyszeń nie lubią i nie wierzą powodzeniu akcyi, którą zorganizował ktoś przed wiekami, a zwłaszcza święty, w takich czasach łatwo przyjęły się pewne pozory, co pewne odstręczenie się od Towarzystwa zdawały się usprawiedliwiać.

Towarzystwo pracuje obecnie nad tem, aby działalność swoją więcej ożywić i aby w członkach rozbudzić większe zainteresowanie się akcyą. Do tego przyczynił się już znacznie podział pracy wywiadowczej i nadzorczej na panie wydziałowe. Mamy nadzieję, że i ten jubileusz, w którym wspominamy o tak gorliwych i pełnych poświęcenia Paniach Mi-

łosierdzia, którym cześć oddać pragniemy — przyczyni się do ożywienia ducha naszego. Tego pragniemy, bo wiemy, że Bóg nie kocha tych, co są letni i co dzieło Jego sprawują niedbale, pamiętamy owszem, że ten nasz Mistrz Boski, co do służby Swojej w osobie ubogich nas powołał, przyszedł ogień miotać i pragnie tylko tego, aby się ten ogień w nas zapalił. Żeby on w sercach wszystkich Pań Miłosierdzia płonął tak, jak się palił w sercach ś. p. Czartoryskiej, Wodzickiej, Wężykowej i tylu innych — racz nam w tym celu pobłogosławić, Najprzewielebniejszy księże Biskupie".

Po tem przemówieniu zabrał głos Najprz. ks. Biskup Nowak i zaznaczył swą radość, że miłem mu będzie pobłogosławić dziełu tak długoletniemu, bo to jest znakiem błogosławieństwa Bożego i wytrwałości członków, których gorliwość podsyca wiara święta i chrześcijańska miłość bliźniego. Po błogosławieństwie udzielonem przez Najprz. ks. Biskupa, przeczytano telegram Ojca św. z życzeniem i błogosławieństwem na dalszą zbożną pracę dla członków i współpracowników. Na zakończenie uroczystości odbył się w podwórzu Sióstr Miłosierdzia obiad dla 100 ubogich Stowarzyszenia, którym posługiwały same Panie i Panny Ekonomki.

Wszyscy obecni z sercem podniosłem opuścili zebranie. Tak, jak w ciągu krótkiego życia ludzkiego, nieraz z trudnością wypada nam wskutek namiętności i przewrotów uznać dobre drogi Opatrzności działającej celowo i mądrze w okresach przerastających życie człowieka, podobnież i w dziełach miłosierdzia wśród codziennych uciążliwych trudów miłości chrześcijańskiej nieraz ginie nam cel wyższy stawiany przez wiarę; lecz w swoim czasie występuje błogosławieństwo Boże, a my patrząc na plon obfity a niespodziewany powtarzamy słowa Pisma św.: „Od Boga się to stało i dziwnem jest w oczach naszych!".

Horodenka. — S. Przełożona w szpitalu powiatowym pisze do Czcig. S. Wizytatorki pod datą 18 maja b. r.: Ukończywszy szczęśliwie, a mogę powiedzieć prawie cudownie, zbożną moją pracę, to jest przygotowanie dzieci do pierwszej

spowiedzi i Komunii świętej, spiesznie chcę skreślić cały przebieg czynności naszych w ciągu tego czasu. Ogólna liczba wszystkich dzieci, które się u nas zgromadzały wynosiła 93, z tych do pierwszej Komunii św. przystąpiło dziewcząłek 30 a chłopców 39, reszta była tylko do spowiedzi św. Pracą naszą podzieliłyśmy się tak: Siostra Śliwa uczyła pacierza i pierwszych wiadomości o Panu Bogu; ja uczyłam ich dalszych rzeczy z katechizmu i o Sakramentach św. wogóle; S. Leńczyk zaś przesłuchiwała każde dziecko na osobności i objaśniała, gdy jeszcze czego nie rozumiało. Jestem mocno przekonaną, że praca ta nasza około tych dzieci jest Panu Bogu miłą, gdyż w ciężkiej mojej chorobie utraciwszy zupełnie słuch i nieomal mowę, o to tylko prosiłam P. Jezusa, ażeby mi wrócił słuch, bym mogła jeszcze po raz ostatni przygotować Mu serca tych biednych dzieci, na przyjęcie Go godnie w świętej Komunii — i dał mi Bóg tę łaskę. O jakże wiele jestem winna wdzięczności, że mię wysłuchać raczył, że mogłam jeszcze dla chwały Bożej pracować. W czasie tym zdrowie mi służyło zupełnie, nie czułam nawet najmniejszego znużenia. Siostry Towarzyszki również są zdrowe. Praca nasza domowa, oprócz obowiązkowej, musiała się zatrzymać, to też teraz mamy więcej roboty wszędzie, i w ogrodzie i w pralni i w porządku domowym, lecz w Bogu nadzieja, że się rychło wszystko załatwi, bo dla Niego się tak opóźniło.“

Zmarli Misyonarze:

1. Ks. Antoni Ricci, 4 marca w Piacenzy (prowincya rzymska); żył lat 29, w Zgromadzeniu 13.
2. Ks. Piotr Carles, 14 marca w Algierze; żył lat 81, w Zgromadzeniu 56.
3. Br. Celestyn Chaton, 18 marca w Paryżu; żył lat 80, w Zgromadzeniu 61.
4. Ks. Teodor Vandenberghe, 28 marca w Konstantynopolu; żył lat 55, w Zgromadzeniu 35.
5. Ks. Józef Ciravegna, 13 marca w Mondovi (prowincya turyńska ; żył lat 84, w Zgromadzeniu 66.
6. Ks. Piotr Marc, 6 kwietnia w Algierze; żył lat 45, w Zgromadzeniu 26.
7. Ks. Kornel Hickey, 24 kwietnia w Dublinie; żył lat 91, w Zgromadzeniu 65.
8. Ks. Kamil Anchier, 22 maja w Paryżu; żył lat 61, w Zgromadzeniu 23.
9. Br. Franciszek Supanz, 24 maja w Dax; żył lat 47, w Zgromadzeniu 21.
10. Ks. Franciszek Feely, 26 maja w Denver (Stany Zjednoczone); żył lat 31, w Zgromadzeniu 16.
11. Ks. Feliks Esteban, 15 maja w Monterey (Meksyk); żył lat 33, w Zgromadzeniu 10.
12. Ks. Witalis Dufau, 4 czerwca w Dax; żył lat 71, w Zgromadzeniu 47.
13. Br. Ludwik Stumbersek, 13 czerwca w Gracu; żył lat 44, w Zgromadzeniu 15.

R. I. P.



Kraków – Drukarnia Związkowa, pod zarządem A. Szyjewskiego.